I ROK ZESZYT VII

Cena zeszytu 5

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

„Młodość“



jako jedyne pismo młodzieży polskiej, ma obowiązek odzwierciadlać w sobie ruch młodzieży z pod zaborów i łączyć z krajem ojczystym ogniska młodzieży, studyującej za granicą.

Na wewnątrz zaś, przez bezstronne krytyczno-naukowe rozbieranie kwestyj młodzież zajmujących i przez umieszczanie głosów wszystkich partyj, starać się będzie łagodzić rozdział wśród niej istniejący. Redakcya zaś stojąc na stanowisku zupełnie bezstronnem, powstrzyma się od zaznaczania przy każdym artykule, umieszczonym w „Młodości“, czy zgadza się z nim rzeczowo, czy nie.

Główne te nasze zadania wypełnić możemy tylko przy gorącem i stałem poparciu wszystkich akademików. Do kolegów z prowincyi i zagranicy udajemy się z prośbą o przysyłanie korespondencyi z życia młodzieży polskiej. Przez utworzenie filii redakcyjnej we Lwowie położyliśmy silniejszy fundament pod pismo nasze i prosimy kolegów ze wschodniej Galicyi, aby z wszelkiemi pytaniami i artykułami do niej się zwracali.

Każdy akademik uważać się powinien za współpracownika naszego pisma, a słuszne rady i wskazówki uwzględniać będziemy z wdzięcznością.

Prenumeratorów, których abonament z tym numerem się zakończył, prosimy o szybkie odnowienie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

OD REDAKCYI.

Dzisiejszym numerem rozpoczynamy drugie półrocze naszego wydawnictwa.

Programu dotychczasowego nie zmieniamy ani na jotę: chcemy i nadal służyć za ognisko myśli, pragnień młodzieży polskiej, bez względu na to, czy ta myśl wyrazi się w pracy naukowej, w wyznaniu politycznem, czy znajdzie ujście w twórczości artystycznej. Wymagamy jednego: szczeroty, bezwzględnej szczeroty i śmiałości. Nigdy nie zastrzegaliśmy się i nadal nie będziemy się zastrzegać przeciwko dyletantyzmowi pisma. Organ młodzieży musi nim grzeszyć; więcej: dyletantyzm stanowi zawsze barwę i urok młodości. Z drugiej strony jednak nie myślimy wcale uszczuplać listy swoich współpracowników, wybierając ich li tylko z grona kształcącej się młodzieży (akademików).

Taki podział na młodzież kształcącą się i nie kształcącą się (?) jest sztuczny i nielogiczny, a w praktyce redakcyjnej może się okazać zgubnym, jeżeli już nie dla pisma, to dla czytelników. Współpracownikiem naszym może być każdy, kto bez względu na swój wiek, swoje przekonania osobiste, nie zatracił instynktu r e w o l u c y i d u c h a, rewolucyi przeciwko skostnieniu, zastojowi, zabagnieniu umysłowemu i moralnemu.

Konkretniejszych programów stawiać nam nie wolno.

Dzisiejszy numer wychodzi w znacznie zwiększonej objętości (za czerwiec i lipiec). Następny ó s m y zeszyt ukaże się również w zwiększonej formie, ale dopiero w pierwszych dniach września, ze względu na czas wakacyjny. Numery te dwa wypełnią trzeci kwartał wydawnictwa, poczem »Młodość« zacznie wychodzić jako i l l u s t r o w a n y t r z y t y g o d n i k (4 zeszyty kwartalnie).

WITOLD GOZDAWA-GODLEWSKI

JAK TUŁACZE ECHO TEJ POEZYI/ CO JENO W BŁĘKIT BIĆ UMIAŁA/ OBCYM BYŁ ZA ŻYCIA ŚRÓD SWOICH· BOJEM SZEDŁ ŚRÓD LUDZI/ A NADZIEJĄ DZWONIŁY JEGO STROFY· BRATEM MU BYŁO WSZYSTKO CO ŻYJE/ CO TO ŻYCIE KOCHA I ŁKA ZA ŻYCIEM·

MIAŁ 21 LAT NIESPEŁNA/ GDY UMIERAŁ· SKONAŁ 5 CZERWCA 1899 ROKU·



WITOLD GOZDAWA-GODLEWSKI.

Mewie...

Słyszałem, jak w szmer morza wpadały mew płacze,
Aby razem z nim nucić jakąś pieśń półsenną —
Widziałem, jak szły fale błędne i tułacze,
Ściskając brzeg kamienny pieszczotą bezdenną —
I każde zgięcie fali i każden krzyk mewy
W mem sercu wszystkie stare budziły rozpacze
I biegły moje myśli, jak fale tułacze
I łkały wszystkie stare, stworzone w łzach śpiewy!

Z bezkresu i w bezkresy przedemną szły fale
Głębokie a mistyczne, jak życia wylewy —
I tak, jak dusza skargę — tak wciskał płacz mewy
W odwieczne morza szumy, odwieczne swe żale!
Zapomnieć, o zapomnieć! Niech świat Oceanid,
Świat fali i odmętu pogrąży mnie w ciszę
I do snu niech swym rytmem spokojnym kołysze,
Aż serce śniąc, powoli zamieni się w granit!
Lecz wiem ja, że i wtedy fal miękkich aksamit
Pieszczotą swą przypomni pieszczone w łzach śpiewy —
I tak, jak w głębi pustyń woła szczyt piramid —
Tak będzie w tym granicie wciąż wołał płacz Mewy!

Adryatyk.

BOLESŁAW LIMANOWSKI.

PRZEDMIOT DYNAMIKI SPOŁECZNEJ.

(Ciąg dalszy).

Kwestya terytoryalna przyspiesza proces całkowania się pokrewnych a sąsiedzkich z sobą plemion. Federacya plemion irokiezkich — jak opowiada Morgan — „usuwała przyczynę waśni przez połączenie swych plemion pod jednym rządem i rozszerzanie go drogą wcielania innych tego samego nazwiska i pochodzenia". „Nalegali na Eriów i Naród Neutralny, aby się stali członkami federacyi, a wskutek odmowy, wyparli ich z ich granic" [1]). Zniesienie granic terytoryalnych pomiędzy plemionami attyckiemi i uznanie Aten za punkt środkowy, wytworzyło pomiędzy niemi jakość narodową. Nastąpiło to — podług opowiadania Tucydytesa — za wpływem Tezeusza i porozumieniem się wzajemnem plemion.

Kiedy rody zaczęły tworzyć osady, organizacya owych jako rodowa musiała być komunistyczną. Wniosek ten, który sam się nasuwa a priori, potwierdza się także przez badanie społeczeństw pierwotnych. Najbardziej starodawnemi formami komunizmu rodowego były przedkolumbowe amerykańskie organizacye i tam też panował — rzec można — on w całej swej pełni. U Magów np. nie tylko wspólnie uprawiano ziemię i wspólnie zbierano z pola, ale osada miała wspólny spichrz, gdzie przechowywano zebrany plon, i wspólną kuchnię, gdzie przygotowane jadło dzielono pomiędzy pojedyncze domy lub rodziny.

Dopóki w rozproszonych osadach mieszkała ludzkość jednoplemienna, dopóty ustrój rodowy odpowiadał wszystkim potrzebom społecznym i był najodpowiedniejszą

---

[1]) Polskie tłómaczenie str. 160.

formą bytową. Rozwój odbywał się drogą ugodową: powstawały związki w celu wymiany rozmaitych płodów i wytworów (archy u Kabylów), związki mające na celu wspólną obronę, związki, jednoczące się koło jednej wspólnej świątyni i wspólnego cmentarza i t. d. Kiedy jednak w późniejszych czasach, niektóre rody zmuszone opuścić dawne swe siedliska, najczęściej skutkiem rozrostu ludzkości i idącego za nim głodu, znajdowały w swej wędrówce zajętą już ziemię, musiały staczać o nią boje, podobne do tych, jakie rysuje nam Biblia, mówiąc o owładnięciu Palestyny przez żydowskie plemiona. Zwycięstwo mogło prowadzić albo do wyparcia miejscowej ludności, jak to uczyniły słowiańsko-litewskie z ugrofińskiemi plemionami, albo do wytępienia owej, co także w dziejach się zdarzało, albo do podbicia owej, do narzucenia jej swego panowania. Ten ostatni wypadek miał nader ważne znaczenie z tego względu, że był początkiem budowania państwa, opartego na przymusie i mającego na celu zachowanie zdobytego terytoryum w całości. W stosunku do osady rodowej, przedstawiającej organizacyę ugodową, państwo przejawia charakter przymusowy. Hipoteza, która początek państwa łączy z podbojem, coraz większą liczbę faktów gromadzi na poparcie swoje.

Cechy najgłówniejsze, które odróżniają organizacyę rodową od państw, są: klasowość i terytoryalność.

Wprawdzie w organizacyi rodowej różniczkowanie się zajęć sprowadza także odpowiedni podział klasowy, ale klasowość, opierająca się na panowaniu jednych nad drugimi, pojawia się dopiero w państwie. Ludność podbita stanowi klasę poddańczą, podbójcy stanowią klasę panującą. Przedział pomiędzy temi klasami tem jest większy, im jest większa pomiędzy niemi różnica biologiczna, rasowa. Znawca stosunków chilijskich Ballesteros, podaje w tym względzie bardzo pouczający przykład. „W Chili — powiada on — istnieją dwie zupełnie różne klasy, które nie mają żadnej dążności do połączenia się. Pierwsza się składa z potomków conquistadores (zdobywców), którzy owładnęli ziemią; drugą tworzą potomkowie autochtonów, wprzęgnięci od samego początku do poddaństwa, przypominającego bardzo niewolnictwo. W miarę jak zdobywano ziemię, rozdzielano ją pomiędzy zwycięzców, a tubylców, wziętych do niewoli albo dobrowolnie poddających się, oddawano nowym panom ziemi, w celu nauczenia ich wiary katolickiej, i aby pracowali u swych panów zarabiając sobie na życie [1]). Pomimo, że obie te klasy dzisiaj — wyznają tę samą religię i mówią tym samym językiem, pomimo, że konstytucya republikańska zapewnia im równość cywilną i polityczną, różnica pomiędzy niemi zawsze jest jeszcze wielka, i potomkowie zdobywców zawsze są jeszcze istotnymi panami w państwie. Klasy, istniejące w państwach nowoczesnych zachodniej Europy, są także wynikiem podboju. Jeżeli sięgniemy w starożytność, to wiemy, że Peneści w Tesalii, a Heloci w Sparcie należeli do ludności podbitej. W Indyach przedgandesowych jedni najezdcy, przybywając po drugich, przyczynili się — jak twierdzą antropologowie — do wytworzenia całej

---

[1]) Str. 52 i 53, styczniowy zeszyt 1894 r. „Revue Internatilonale de Sociologie" (Paryż redaktor Rene Worms). Artykuł M. E. Ballesterosa „O ruchu społecznym w Chili".

drabiny hierarchicznej klas, które skutkiem wielkiej różnicy rasowej, zesztywniały w odrębne kasty.

Chociaż już hordy łowieckie — jak to widzimy w Australii — i plemiona pasterskie — jak o tem pomiędzy innemi opowiada biblija — ustanawiają pomiędzy sobą granice terytoryalne, to jednak znaczenie ziemi jako własności staje się istotnie ważnem dopiero wówczas, kiedy rozpoczyna się życie osiadłe, i kiedy uprawa ziemi przedstawia najważniejszy sposób w dobywaniu potrzebnej żywności. Zwykłe przedtem napady lub najazdy łupieżcze w celu grabieży zyskują powód do stawania się zaborczemi. Zdobywcom chodzi o utrzymanie zajętej ziemi w swem posiadaniu, a również — może nawet w wyższym stopniu — o rozciągnięcie swej władzy nad ludnością pracującą i zmuszenie takowej do uległego względem siebie zachowania się. Mówiąc o wiele późniejszych i bardziej skomplikowanych niż pierwotne stosunkach, historyk tak się wyraża z wielką słusznością: „Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach (w XII-stuleciu w Polsce) był człowiek najintratniejszym majątkiem, jaki można było komu podarować, a ziemia była dodatkiem do ludzi. Książę dający, lub papież potwierdzający nadanie, wyszczególniał darowiznę według jej wartości; naprzód wymienił ludzi Kostonowiców, a potem dodał *cum villa eorum*, jakoby z warsztatem, na którym rzemieślnik miał pracować [1]). Właśnie dlatego, że ziemia mogła żywić zaborców, bez własnej ich ciężkiej pracy, stawała się ona dla nich ważnym nabytkiem i skłaniała ich do budowania państwa, którego głównym celem była obrona zdobytego terytoryum.

W celach państwowych rodowa organizacya osad przeistacza się w organizacyę terytoryalną, gminną. Właściwiej mówiąc, obok rodowej organizacyi państwo, stawia organizacyę terytoryalną, która pochłania i zaciera niejako pierwszą. Dzieje starożytne przedstawiają dwa wybitne w tym względzie przykłady. W Rzymie nagromadziła się liczna ludność pozarodowa, nie należąca do narodu rzymskiego (populus romanus), chociaż była ona osobiście wolna i spełniała służbę wojskową. Za Serwiusza Tuliusza lud plebejski był prawie tak silny, jak właściwy populus romanus. Taki stan rzeczy wywoływał nieustanne zatargi, walkę, przedstawiał wielką groźbę wobec wrogów i nie dozwalał należycie kontrolować, czy cała ludność pozarodowa spełniała swe powinności wojskowe. Ażeby temu zaradzić, Serwilius Tulius — podług opowiadania Dyonizyusza — otoczywszy siedm pagórków rzymskich murem, podzielił miasto na cztery administracyjne części, które objęły pod jednym zarządem rodową i pozarodową ludność. Podział ten jednak wcale nie znosił organizacyj rodowych, istniały one i dalej, ale znaczenie ich polityczne coraz bardziej słabło. Podobnej rewolucyi dokonał w Atenach Klistenes, ustanawiając obok czterech rodowych fil, złożonych z rodów i bractw, dziesięć nowych politycznych, opartych na podziale terytoryalnym. „Co się zaś tyczy rodów, fratryj i stowarzyszeń ofiarniczych, to pozostawił je i nadal w takim samym stanie jak było i dawniej [2]).

---

[1]) Tadeusza Wojciechowskiego — „Chrobacya. Rozbiór starożytności słowiańskich". T. I. Kraków, 1873.

[2]) Arystotelesa — „Konstytucya ateńska", rozdział 21.

Istnienie państwowe ułatwia w wysokim stopniu rozwój życia narodowego. Obrona granic zewnętrznych usuwa, a przynajmniej zmniejsza groźbę nieustannych napaści, i z tego powodu nawet dla ludności podbitej staje się znośniejszem jarzmo narzucone. Zwiększone bezpieczeństwo sprzyja ustalaniu się życia osiadłego, zabudowaniu się, gromadzeniu zasobu, rozwojowi produkcyi. I nietylko bezpieczeństwo wzrastało, ale nadto władza państwowa jako silniejsza i mniej względna, więcej się przyczyniała od rodowej do ustalenia porządku wewnętrznego, przynajmniej w stosunkach ludności podbitej.

„Od czasu jak badania antropologów i archeologów — powiada Le Bon — skierowały się ku przeszłości człowieka, rychło przekonano się, że wszystkie ludy bez wyjątku, od najbardziej cywilizowanych do najdzikszych przechodziły przez stan pierwotny rozwoju, jednakowy dla każdego ludu, stan, w którym nieznano kruszców, i podczas którego wszystkie przedmioty mające trwałość ciosano z kamienia [1]). Ludy i narody, taksamo jak i pojedynczy ludzie, nie przechodzą całej drabiny rozwojowej z tym samym wysiłkiem i w również długim przeciągu czasu, ale korzystając z doświadczenia i z dorobku starszych od siebie, skracają sobie drogę i prędzej wspinają się na wyższe szczeble rozwojowe. Narody, taksamo jak i pojedynczy ludzie, muszą dojść do pewnego stopnia dojrzałości w swym rozwoju materyalnym i duchowym, ażeby mogły wystąpić samoistnie i czynnie na polu pracy ogólno-ludzkiej.

(C. d. n.)

WITOLD GOZDAWA-GODLEWSKI.

NADCZŁOWIECZEŃSTWO WOBEC ŻYCIA.

Oto słucham i idą ku mnie zdaleka wszystkie myty i wszystkie legendy, jakimi ludzkość znaczyła historyę swojego duchowego rozwoju. Długie, tęskne echa biegną stamtąd i przynoszą mi czy to proste słowa mądrości, zawartej w chińskich księgach King, czyto panteistyczne roztajemniczenie »Manu« indyjskich, czy nerwowe, wizyjne majaczenie semickich proroków... Słucham — mówią do mnie magowie i bramani, mówią uczeni i astrologowie, mówią sfinksy egipskie i gwebryjskie ołtarze Wiecznego Ognia... Mówią wydarte falom fiordów północnych pieśni skaldów i czyny wikingów, mówią wszystkie fantazye i wszystkie legendy, począwszy od zrodzonej

---

¹) Gustaw Le Bon — „L'homme et les sociétés, leurs origines et leur histoire". — Paris, 1881. T. I. str. 228.

w żarach arawijskiej pustyni, promiennej strofy Genezis, aż do lśniącej nagiemi ciałami bohaterów sagi druidycznej i niezmiernej poezyi Eddy... Wszystko mi mówi o losie człowieka.

Człowiek. Pierwszy człowiek. Oto mam go, oto wyłonił się z fantazyi ludów i stoi mocny, a niewzruszony. Chmury się kłębią nad nim, wyją, płaczą, krwawymi włosami błyskawic szarpią mu czoło, jak wichry szumią w uchu przekleństwem Jehowy. On się oparł na młocie olbrzymim, patrzy w ziemię i mówi jej: Jestem! — Ziemia słucha zdziwiona i przeczuwa już władzcę swojego. Ten prototyp pierwszego człowieka, ten twór płomiennej fantazyi semitów — nazywa się — Kain.

Nie jest to już brutalne zwierzę kręgowe z wszystkiemi ostologicznemi cechami troglodytów epoki kamienia łupanego, o potwornej czaszce Nidertalu — jest to już duch, duch jednostki ludzkiej, stojącej na stanowisku zupełnego samopoznania. Ta jednostka z bronią w ręku ośmiela się upominać o prawa swoje i z całą bezwzględnością pierwotnej psychicznej organizacyi — rzuca się na pierwszą napotkaną przeszkodę, ta jednostka nie waha się już ani chwili wydać walkę Jedynej i Najwyższej, w jej pojęciu, Istocie i ma jeszcze tyle tchu w piersi, a zuchwalstwa w sercu, że śmiałem, krwawiącem się spojrzeniem ciska straszliwemu, mściwemu Bóstwu prosto w twarz swoje wyzwanie, swe nie mniej straszliwe i potężne: — jestem! Nie boi się zemsty, nie boi się krwawej chłosty klęsk najrozmaitszych, chociaż już ją czuje na swojem ciele. Gardzi karlem otoczeniem, które umie tylko płakać i korzyć się przed Panem, przerasta je albowiem o głowę i czuje w sobie bezdeń swojej, ludzkiej siły, swojej wielkiej godności człowieka. Od owego: — jestem — pierwszej niezależnej ludzkiej jednostki, sankcyonującej stwierdzeniem już samego faktu swego istnienia, — wszelki czyn i wszelkie prawa tego czynu — zaczyna się dopiero historya nie grup stadno-społecznych, a cała tragedya duszy ludzkiej.

Pierś Kainów i Kaimitów jest zwykle zbyt wielką, by móc zmieścić się w świecie jakiejkolwiek formy. Zbyt wiele ma w sobie szczerej rozlewności życia. Siła niezmierna tętni w każdem jej drgnięciu, wypełza z każdego jej ruchu i musi dla siebie swój świat odrębny wytworzyć, lub jakimś niezmiernym pędem odśrodkowym stary zmienić i rozszerzyć. Jestem — woła owa siła ogromna, roskoszując się faktem własnego istnienia, — o swój byt nie prosiłam nikogo, bezwiednie zostałam powołaną do życia i z tej racyi

życie owo musi mi dać wszystko, co mnie może zrobić szczęśliwą. Raz jestem i żyję — mam już swój świat jedyny i odrębny i muszę mieć już przezto samo jedyne i odrębne prawa dla niego. To wszystko co mnie męczy, co mnie krępuje, musi się skruszyć pod ciosami mego obucha, musi uledz, bo wolność nie jest wolnością — o ile nie jest absolutną. Jestem, więc jestem i wraz ze mną są moje żądze, moje pragnienia, moje czyny i upojenia, mające równą racyę bytu i równe jego prawa, jak ja sama.

Kain biblijny, zanim Nietzsche użył pierwszy raz swojego określenia »Uebermenscha« — był już istotnym nadczłowiekiem. Idea życia, która, wcielając się najsilniej w pewne typy ludzkie, czyni je przezto nadludzkimi — musiała już odzywać się w nim i wołać z całą potęgą w jego myśli. Nie jestem wcale ani entuzyastą, ani uczniem genialnie paradoksalnej filozofii Nietzschego, a jednak nim ją poznałem — jużem się kochał we wszystkich Kainach.

Zanim przejdziemy teraz do dziejów tej już od razu oderwanej i traktowanej oddzielnie ludzkiej jednostki — ciekawem może byłoby przejrzeć, jak ta buntownicza jednostka ludzka filozoficznie przyszła do świadomości wyodrębnienia swego i swojego samopoznania.

W labiryncie pytań o tem, czem jest wszystko, lub co jest wszystkiem, gdzie ów mianownik ogólny, do którego daliby się sprowadzić świat i człowiek, zarówno jak ich stosunek do siebie i intesywność ich wzajemnej zależności — badająca myśl filozoficzna kurczowo, namiętnie czepia się tylko jednej rzeczy, o której coś wie, t. j. siebie. Na tym kamieniu węgielnym wyrastają już z kolebki ludzkości tak wizyjne Upaniszady, jak mistyczne marzenia Laotse'go w Chinach, tak przepastne wchłonięcie się Buddyzmu, jak wreszcie twórczość największych filozofów greckich u zenitu rozwoju swojego. Człowiek czuje tylko rzecz jedną — świadomość istnienia, czuje ją w całej pełni tylko w sobie i przeto ta świadomość jest jego osobistą, indywidualną świadomością własnego istnienia. »Cogito — dubito, dubito — ergo sum« — woła ojciec metafizyki nowoczesnej Kartezjusz, szczęśliwy, że na tym niezbitym postulacie własnych myśli i własnych wątpień — może oprzeć nareszcie fakt bytu swojej jaźni. Jednocześnie prawie Spinoza znajduje ją i roztraca

w swoim panteizmie Substancyi i Bytu, a empiryści angielscy z Bakonem, Hobbesem i Lock'iem na czele z brutalną pewnością anglo-saksów apoteozują tę biedną jaźń ludzką do tego, że w cały świat wierzą tylko o tyle — o ile wynika z jej doświadczenia i jest oparty na pomyślnym wyniku jej badań.

»Wiemy, iż dusza i myśl egzystuje, lecz równie dobrze wiemy, że jest ona białą kartą, na której piszą doświadczenie i badanie« — oto credo empirystów angielskich. Kartezyusz, Spinoza chcieli zatrzymać w swojej odrębnej, oderwanej jaźni ludzkiej choć cokolwiek z ponad niej i wtłoczyli w nią jakoby wrodzoną ideę Boga — Lock całą potęgą genialnego rozumowania uderzył w tę ostatnią scholastyczną pozostałość filozofii nowoczesnej. Nic nie wiemy za wyjątkiem tego, co jest wiedzą. Składa się na nią połączenie naszych idei, idee poznajemy tylko przy pomocy badań i doświadczeń, a przeto wiedza nasza nie wychodzi z poza ich granic. Możemy zaś badać albo przy pomocy czuć, albo przy poznawaniu wewnętrznej działalności duszy naszej, czyli rozsądku. Czucia dzielą się na proste i skomplikowane, odzwierciedlające się w duchu i alfabet wiedzy opiera się przeto na tych czuciach elementarnych, wyobrażenie światła np. daje nam się przy pomocy wzroku, dźwięki opierają się na naszych czuciach akustycznych; uzupełniają zaś go dopiero owe wyższe, więcej skomplikowane formacye czuciowo-myślowe. Tych znamy trzy rodzaje, trzy klasy: idee zmian, (przestrzeń miara), idee czasu (wieczność), idee procesu myślowego, (wrażenie, wspomnienie) — oto nasz cały aparat poznania* w jego pierwotnym, empirycznym zarysie.

Zatrzymaliśmy się nad nim trochę dłużej, bo tu widzimy myśl ludzką, starającą się na możliwie naukowych podstawach oprzeć wydobytą ze siebie prawdę wszechświata. Pomimo całą bezwzględność tych pierwszych prób indukcyjnego myślenia. I tu jednak słyszymy zgrzyty, widzimy jak na skrzydłach zrywają się upiory najrozmaitszych wątpliwości. Już Hobbes, może jeszcze śmielszy i może jeszcze praktyczniejszy, kwestyonuje całkiem możność poznania przez ludzką jednostkę prawdy świata. »Wiedza powstaje z wrażeń — woła — utrwala się i udziela przez słowa, a te, niestety, oznaczając wiele rzeczy podobnych, nabierają cech ogólnych, tkwiących tylko w wyrazach i w pojęciach, a nie w samych rzeczach.«

I tu więc człowiek nie wyszedł poza siebie. Został samotny wobec ta-

* Lock: »Badania nad ludzkim rozumem«.

jemnicy kosmosu. Zamiast wieczystej prawdy jego — mógł uznać tylko swoje względne pojęcie o niej i równie względne jej zrozumienie.

Nie utrudniajmy sobie i bez tego ciężkiego zadania balastem filozoficznym. Zbyt dobrze wszyscy znamy późniejszy rozwój jego. Zbyt długo zgłębialiśmy względność poznania Kantyanizmu, lub Heglowską tożsamość przeciwstawień. Zbyt dobrze wiemy, iż epigon metafizyki niemieckiej posępny mędrzec z Frankfurtu wyszedł znowu z Kartezyuszowskiego założenia, modyfikując je w ten sposób: chcę — więc jestem! To równie dobre i prawdziwe, lecz więcej dzisiejsze. Schopenhauer w tej apoteozie woli i poniekąd pragnienia, zbyt się odzwierciedlił w Nietzsche'm i Wagnerze, aby nie był duchowo spokrewnionym ze wszystkimi nami.

Więc metafizyka, wychodząc z aksyomatu czy to wątpienia i myślenia jaźni ludzkiej, czy jej czucia i woli — doszła do rezultatu i pewniku, że owa jaźń egzystuje. Berkleyzm i Kantyanizm, jak niegdyś mądrość Upaniszadów i Buddyzmu, zakwestyonowały możność poznania absolutnej prawdy świata zewnętrznego przez ową jaźń nieszczęśliwą, ustawicznie łudzoną przez zmysły, słusznie twierdząc, że one są zbyt słabą rękojmią poznania, — lecz ten sam Kantyanizm nie może zaprzeczyć, że każden subjekt poznający, ma świat takim, jam on się jemu wydaje, czyli że ma swoją osobistą i najlepszą, bo jedynie możliwą, prawdę jego. Jeżeli inna soczewka oczna pająka, jeżeli pozbawione jej zupełnie mięczaki i robaki, widzą świat zupełnie innym, niżli inne, wyższe ustroje — niema to znaczyć według mnie, że się łudzą, że świat i życie jest właśnie takim, za jakie go mają typy kręgowców. Nie! I pająk i mięczak, i człowiek, widząc w jednym i tym samym świecie, aż trzy odmienne — mają racyę. Każden z nich ma swoją prawdę niezależną i zupełną i każden swój świat, w którym jest zarazem zupełnym Pustelnikiem, jak jedynym Panem i Władzcą.

Weźmy typy z życia, spójrzmy na rwące krainy ducha! Kto udowodni, że różowe szkła marzyciela, że załamana w wodospady najszlachetniejszych popędów i uczuć dusza altruisty — ma jakąś swoją większą prawdę, jakąś większą racyę bytu, niż czarne, bezłunne nocy pessymizmu, lub brutalny, zwierzęcy krzyk egoistów, zdzierających płaszcze z każdej świętości, byle módz nimi otulić siebie. Kto może upewnić, że nie jest prawdą wizyjne majaczenie poety, a jest właśnie takową — suchy szelest bezzębnych warg starca-pozytywisty? Kto ośmieli się powiedzieć, że świat hallucynatów i wizyonerów,

świat szałów i haszyszowych upojeń, świat orlich wzlotów i bolesnych upadków Ikara, świat mąk i rozkoszy, konwulsyjnych załamań rozpaczy i otchłannych wołań pragnienia — jest gorszym od świata cyfry i rachuby, od świata codzienności, pleśni i szarej prozy życia — jest nikczemniejszym od świata pracy i poświęcenia, od świata bólów prawdziwych, fizycznych i prawdziwej życiowej niedoli? One wszystkie są inne i wszystkie dobre i wszystkie prawdziwe... Pająk, mięczak i człowiek z racyi innych soczewek ocznych mają trzy swoje inne, zewnętrzne światy, a my chcemy, aby dusze ludzkie, dusze lepione z gliny i z kału, z złota i z granitu, z łez rosy i z piorunowych westchnień błyskawicy, duszy pełne niezmiernej melancholii cyprysów i lubieżnego rozpojenia się życiem, dusze tak inne, tak rozmaite, a tak przeraźliwie wielkie w tym przepychu i rozmaitości swojej, aby te dusze mogły się zmieścić w jednym i tym samym świecie, wierzyć w jedne i te same ideały i wyznawać prawdy te same?

Dusza parweniusza i dusza artysty, orli lot zapaleńca i powolne pełzanie matematyka, skarlałość nikczemnika i słoneczna powaga bohatera, duchy, dusze i duszyczki — mają grzęznąć w jednakowem błocie społeczno-obyczajowych kodeksów towarzyskich, mają otulać swe zaropione rany, swą krew, swe łzy, swój ból i pogardę swoją jednym i tym samym dziurawym płaszczykiem koszlawej moralności dewotów i filistrów? Miłość żonkosia, miłość »piwowara niemca« do żony niemki — ma podlegać tym samym prawom, co otchłanne majaczenie o uczuciu, jakie leży na dnie serca każdego artysty, albo wierne, psie przywiązanie się człowieka, stworzonego tylko poto, aby kochać i być kochanym!... Kto ośmieli się dziś wygłosić ten paradoks, dziś wobec wycia tych tysięcy dusz, którym ciasno, wobec łkania tych milionów którym duszno, wobec stosów popiołu, jedynego śladu wszystkich tych, którzy umarli z braku powietrza, a żyli przez wieki tylko po to, aby cierpieć... Nie! Niema Prawdy i Nieprawdy, niema światów złych i dobrych — jest tylko jeden zupełnie odrębny i inny świat duszy u każdego, która ma swoje pragnienia, ma swoje prawa i ma racyę dochodzić ich, wołać o nie, bez względu na to, czy są to szały rewolucyjne, czy ascetyczna ekstaza, czy suchotniczy mistycyzm Tołstoja, czy banalna radość i mieszczańskie rozpojenie się życiem Nietzschego. Niech walczą te światy dusz — najgodniejsze z nich wybierze i powoła do siebie samo życie.

Każda dusza jest nadludzką nie w znaczeniu wyższości, a odrębności,

bo innej takiej niema, jak świat długi i szeroki i każdy świat jest prawdziwym, bo światem jaźni ludzkiej, która go po to z siebie wydała, że nie wydać nie mogła, że tworząc go, tworzyła zarazem jakąś krainę mistyczną dla siebie, i z siebie, aby być tam największym Pustelnikiem i zarazem Władzcą największym.

Na tem polega jutro świata, tu się powinny zapalić nowe świetlne halucynacye Duszy ludzkiej, nowe cudowne miraże upojeń i pragnień. Dziś, póki konamy, zakuci w pętach religijno-moralnych poglądów, póki się rwiemy z łańcuchów towarzysko-społecznych teoryj — dążenia i marzenia owe odbijają dziwnie jaskrawo od tła zatuszowanego kodeksem i formą od świata burżuazyjnej ludzkości z jej rozkoszną moralnością i banalną zbrodnią, zwierzęcem wegetowaniem i poczciwą, codzienną radością... Lecz przyjdzie Jutro... Już go słychać i taką tęsknotą ku niemu wybijają młoty serc ludzkich! Dusza dzisiejsza w tym pędzie szalonym po swoje samoubóstwienie, w tym swoim ogromnym demonizmie, widzi tylko jedne światła. Są one w oczach, przeświecają w twarzy mistycznej Życia, nie krępowanego niczem, zapatrzonego w Człowieka i w siebie...

A czy te miliony światów, miliony najodmienniejszych popędów — mogą się pogodzić, mając za tło tylko życie? Czy lwy i tygrysy ludzkie nie będą żarły z rozkoszą prawdziwych władców świata ludzi-bawołów? czy w tem strasznem zaostrzeniu walki o byt, w tym chaosie i tumulcie ludzkiego dążenia — nie wyginą wszyscy słabsi? Czy niewolnicy i upośledzeni nie narzucą znowu rozszalałej ludzkości jakichś więzów prawno-społecznych, nie zakują jej serc w żelazne moralno-religijne kajdany? Czy nie zjawi się nowy jaki chrześcianizm, aby wmurować w pierś człowieczeństwa wieczysty ból i wieczyste znękanie wszystkich jego złocistych porywów, całej nieprzepartej tęsknoty do życia. Wszak dzieje ludzkości mają już takie przykłady, wszak słabi w ten sposób już raz ocalili swe suchotnicze istnienie religią wszystkich cichych i wszystkich znękanych, chociaż ona nic nie wniosła w anemiczne żyły jednych i, pomimo swych starań usilnych, nie pozbawiła zdrowej energii życia innych... Może... I dziś mamy rozpaczne wołanie owych upośledzonych i znękanych, ale wołanie o prawa życia, o samo życie! Idea

socyalna, ruch rewolucyjny świata współczesnego należy do szeregu objawów, z którymi poważnie trzeba się liczyć. Owe ciche i niezamącone zatoki, w których chce garść doktrynerów zamknąć szumiące fale ludzkiego pragnienia — zasługują nato, aby im przypatrzeć się bliżej.

Nie chciałbym sięgać do historyi ruchów społecznych. Na krwawem tle rewolucyi francuskiej wynurzają się i odbijają silnie późniejsze Fourieryzmy i Simonizmy. I ten szlachetny marzyciel Fourier, do tego marzycielski, że pragnie harmonię świata oprzeć na rozdzieleniu zasobów ludzkości: na talenty, kapitał i pracę — do tego idealistyczny, że wierzy w swoje teorye falansterów, wspólnych mieszkań i t. d., do tego stanowczy, że nie waha się dzielić kobiet na trzy kategorye: żon, rodzicielek i kochanek bezdzietnych, a zarazem do do tego oględny, że nie usuwając całkiem prywatnej własności zgadza się nawet na dziedziczne posiadanie pewnych cząstek gruntu, oraz mienia zapracowanego w falandze — i ten Fourier pomimo całego pozytywizmu swoich obliczeń, i Considerant i Lemoyne i Bennequin i Chevalier i ci inni, co poszli z nimi i cały S. Simonizm, naukowo traktowany przez Bazard'a, a mistycznie przez Enfentin'a ze swojemi trzema klasami ludzkości, rozdzielonej na uczonych, artystów i przemysłowców — gonią próżnię, szukają tam możliwie uregulowanego życia, gdzie go znaleść nie są w stanie. Tem częściej jeszcze stąpa po manowcach komunizm. Nie mamy czasu zastanawiać się nad jego historyą, zresztą znamy wszyscy socyalną-demokracyę, prawowitą córkę jego. Wiemy wszyscy czego chciały pierwotne bractwa komunalne wieków średnich: zakonnicy żebrzący, Humiliaci i Berghardzi, wiemy, jak zmodyfikował w XVIII stuleciu komunizm — Robert Owen, wiemy do jakich wyżyn nietolerancyi i absurdu doszła ta doktryna u Proudhona, Dezamego i Cabeta,*) wiemy jak po krwawym chrzcie ognia i żelaza, danym przez Cavaignac'a rewolucyi lipcowej — zmodyfikowała się i rozwijała w kołach spiskowców...

Któż nie słyszał o »Societé des travailleurs égalitaires« Barbesa, lub o kółku »Reformistes«, lub o »Ikarzystach« Cabeta, lub o rozszalałych orgiach myśli i czynu u Dezam'ego. Z całym ogniem i brutalnem szarpaniem wszystkiego — pędzą te wyskokowe teorye do owego uregulowania życia, aż rozwój ustroju kapitalistycznego i wprowadzenie maszyn do produkcyi wpychają je na wyłącznie ekonomiczne tory. »Proletaryusze wszystkich krajów — łączcie

*) Porównaj: Bensen — Proletaryusze, Steidtman — Komunizm i Proletaryat.

się!« — rzuca Karol Marx, kreśląc jednocześnie genialne stronice »Kapitału«. »Łączcie się! — powtarza Kautsky, Bebel, Liebknecht — »łączcie się!« — woła program erfurtski — »łączcie się!« — rozlega się dziś na całej linii, wśród ściśnionych szeregów i wszyscy głodni, wszyscy uciemiężeni łączą się, tłumią, wyciągają połamane ramiona, prostują skrzywione członki i krwawem, pałącem się okiem patrzą na świat inny, szumiący nad nimi.

Pomruk, głuchy pomruk wulkanów zastygłych, które jednak mogą jeszcze wybuchnąć, ciche, groźne westchnienie zbliżającej się nawałnicy — słychać w szeregach. Dwa światy w przededniu strasznej walki mierzą się płonącemi oczyma. Oba będą walczyły o szczęście.

O szczęście! Wzrok się mroczy, pierś się rozrywa w jakiejś szalonej ekstazie... Do swego osobistego, nadludzkiego szczęścia dąży człowiek, do szczęścia, do jakiegoś ogólnego, a jednak złożonego z szeregu szczęść osobistych — dążą ludzie. Gdzie różnica? Na czem polega treść walki?

Nadludzie, panowie, władzcy świata wołają: powietrza i życia! — Powietrza i życia! odpowiadają jak echo niewolnicy i gladyatorowie. A ile głosów — tyle pragnień i o ile każden głos różni się, o tyle się różni każde pragnienie...

Cóż więc tłumom tym obiecują? Pomijam kwestyę chleba — chyba o niej dzisiaj dwu zdań być nie może. Chcę tylko przyjrzeć się, jak wygląda owy miraż szczęścia, które jakoby mają posiąść światy przyszłości!...

Czy możemy sobie wyobrazić błyskawicę bez błysku, ogień bez żaru, wiosnę bez słowików, góry bez orłów? Czy możemy sobie wyobrazić człowieka bez jego indywidualności, t. j. bez tego w czem się przejawia człowieczeństwo jego... Mogą być ludzie kamienni lub skamieniali, może być granitowa ścieżka życia — bardzo rzadko jednak spotykamy skamieniałe, granitowe dusze. Rozpalcie tylko na krótką chwilę złocisty Znicz szczęścia, a każda ożyje, przemówi, uśmiechnie się i z utęsknieniem ręce wyciągnie ku niemu, bo jest zanadto z życia, by nie być żywą i mocną, jak ono. Zabrońcie jej pragnąć, zabrońcie jej dążyć, a skamienieje dopiero wtedy. Aby usunąć walkę, co inaczej jest niemożliwe, zszeregujcie i ponumerujcie pragnienia, rozbijcie człowieczeństwo na kasty i każdej wyznaczcie jasno wytkniętą drogę, zabrońcie rodzić się geniuszom i idyotom, zbrodniarzom i bohaterom, ukoronujcie złotą przeciętność, odbierzcie to, co jest treścią każdego pragnienia i każdego uszczęśliwienia, t. j. osobistą własność jednostki — wytknijcie cele,

określcie matematycznie dążności, przewidźcie skutki, usuńcie przeszkody, wytwórzcie ową harmonię cudowną, gdzie głodnych nie będzie, gdzie nie będzie krzywdzicieli i krzywdzonych, wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, a nareszcie świat przestanie walczyć, człowiek godzić na człowieka, miraż wieczystej szczęśliwości przestanie być wreszcie mirażem i ludzkość odarta ze wszystkiego, co jest rozkoszą istnienia, ale zato nie głodna i nie wyzyskiwana — rozproszy się po olbrzymiem cmentarzysku świata i z rozpaczą, z upiorną rozpaczą będzie szukała samej siebie, zasłaniając twarz rękoma przed śmiertelną nudą i automatyzmem waszego życia. Tu dopiero rozpocznie się kamienna wegetacya ducha, stokroć straszniejsza, niż dzisiejsza szarpanina burżuazyjnego świata. Zamiast ludzi glob ziemski zasiedlą maniaki!

Bez strasznej dźwigni posiadania i własności, wątpię nawet, czy wyżyje i owo państwo?... Wątpię czy go nie zadusi własne szczęście. Sądzę, że po króciutkiej próbie znowu zdolniejsi i silniejsi sięgną po ster życia, znowu ustroją siebie w wykwint i bogactwo, a tłum, szary tłum upośledzonych, nauczony doświadczeniem, już zupełnie walczyć nie będzie i pójdzie szukać swojego świata i swojego życia — tam właśnie, gdzie może je znaleźć.

Walka o byt!...!... Czy rozumiecie bez niej życie? Ja — nie. Kula rzucona na płaszczyznę toczyłaby się wiecznie, o ileby jej nie zatrzymało własne tarcie, jeżeli już nie jakieś inne, silniejsze przeszkody... Bój i zwycięstwo, pragnienie, dążenie i upojenie, tęsknota posiadania i posiadanie — oto olbrzymia wizya Życia. Czy jęki gnębionych i krzywdzonych w tej walce nie wstrzymają w słonecznym pochodzie zwycięzców? — Może... Trudno im przecie powiedzieć — niech giną — lecz trzeba się tu ukorzyć przed wielką tajnią życia, które tylko najwięcej godnych dopuszcza do siebie. Z ciał innych, z prochu innych ulepia ono owego wielkiego Drapieżcę-Człowieka, który jest stworzony na to, aby być królem i samotnikiem, w nadczłowieczeństwie, w odrębności, w całym majestacie i całym przepychu swoim.

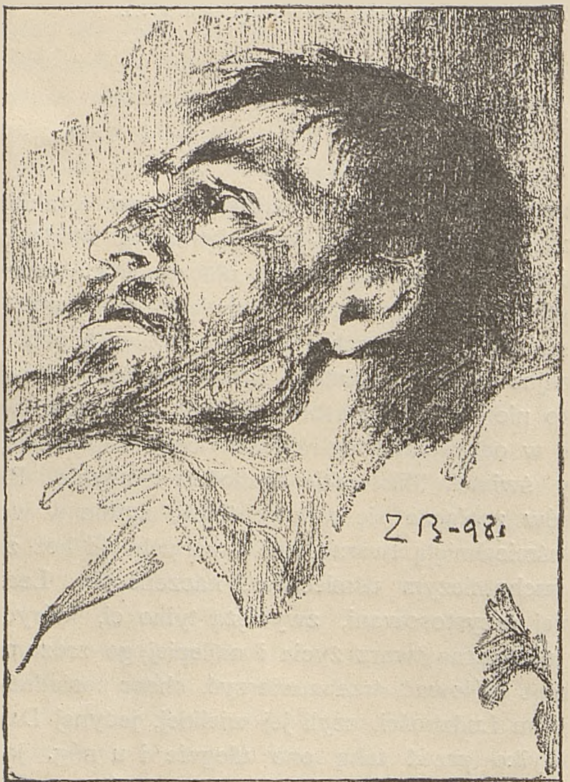
Nie chciałbym tu wracać do tego, co już raz powiedziałem, ale jeszcze muszę powtórzyć. Niema Prawdy i Nieprawdy, niema światów złych i dobrych — jest tylko świat duszy innej i odrębnej u każdego. Dusza owa ma swoje prawa i pragnienia i może zawsze wołać o nie. Każda dusza jest nadludzka, w znaczeniu swej odrębności i nie można jej zakuć w jakiś system religijny, moralny, lub społeczny, bo ile dusz i ile pragnień — tyle musiałoby być systemów. Opryszek i łupieżca, bandyta i złodziej kieszonkowy, artysta

i filister, marzyciel i pozytywista, asceta i epikurejczyk nie mogą podlegać tym samym prawom obyczajowo towarzyskim, tym samym religijno-moralnym przepisom!... Zbyt są inne, zbyt inaczej patrzą w świat, zbyt inaczej ujmują życie... Nie mogą klękać w jednej świątyni i przed jednym trybunałem chylić zarówno wyniosłe, jak zbrukane zbrodnią czoła!!...

Wobec tego: Evoe vita!

Szumi ono rozlewne i szalone, a takie pyszne, a takie rozmaite! Wszak tam wszyscy znajdą miejsce. Fale jego piętrzą się wkoło, wzbierają, huczą, spadają iskrami szałów, kaskadą upojeń, płaczą jękiem bezbrzeżnych rozpaczy i śmieją się konwulsyjnym wybuchem najwięcej otchłannych upojeń. W pianach jego, w szalonych odmętach i w głębiach zawrotnych — takie bogactwa, takie nadzwyczajne skarby Sezama! Tylko pragnąć, tylko umieć sięgnąć po te skarby, tylko nie bać się zawrotów głowy, nie cofać się przed potokami lawy, śmiać się w oczy chmurom i błyskawicom, zapomnieć, że gdzieś, obok jest jakiś inny światek filisterskiej radości i użycia. Płynąć... płynąć!... Tysiące śmiałków zaplącze się w latoroślach, zginie w wodnych porostach, błyśnie z sina-uśmiechniętą twarzą wśród białych lilii bez zapachu i spieczonych żółtym, suchotniczym uśmiechem, kaczeńców... Lecz dużo dopłynie. Dopłyną najlepiej przystosowani, zwyciężą tylko ci, których dusza najsilniej wpatrzy się w mistyczną twarz życia i najlepiej go zrozumie...

Wszak chcąc królować, trzeba wierzyć, chcąc posiadać — trzeba kochać! Ostatecznym celem Ludzkości, czyli jej wielkiej, jedynej Duszy — być *syntezą życia*. Tylko przed taką ono ulegnie i u nóg, jak pies się położy i zapłacze łzami radości, że nareszcie znalazło Króla — Człowieka!!...



ZYGMUNT BADOWSKI STUDYUM.

MŁODOŚĆ str. 194.

ADAM SIEDLECKI

NIEWOLNICY KRWI

opowieść sceniczna w trzech odsłonach.

Kostecki. Dokąd? Jerzy! Jerzy!! (idzie za nim). Zawsze Skierski (wychodzi).

Kolber (który uprzednio patrzył przenikliwie na Władkę, podchodzi do niej; — półgłosem:). Do domu?

Władka (zapina rękawiczki). Do domu, albo i nie do domu.

Kolber (trzyma się ciągle na pewnem oddaleniu od niej). Albo i do pana Skierskiego.

Władka. A choćby i do dyabła samego: nie wolno mi, czy co?

Kolber (ostro). Jak do tej chwili, to niezupełnie wolno...

Władka. Eh!? — No to pan będzie widział, że mi wolno robić, co mi się żywnie podoba.

Kolber (dusi złość w sobie). Aha! więc nasz kontrakt zerwany.

Władka (dotknięta). Ja z panem żadnych kontraktów nie robiłam... I ja pana proszę... ja pana bardzo proszę niech mi pan nie ubliża... ja wszystko znosiłam... (pauza krótka). Jak psa mnie pan... Ale teraz już dość; jak mi pan jedno słowo... to jak Bozię kocham, prosto polecę do pańskiej żony — — ona tu jest. Chce pan?

Kolber (syczy). Nie podnoś głosu!! Ty...

Władka. To czego pan jeszcze chce odemnie?

Kolber. Pożegnać się... Rachunki możemy załatwić choćby jutro.

Władka (gwałtownie). Pluję na pański rachunek! Ja jużem panu mówiła!

(Kolber nie słucha — odchodzi. Pauza).

Kolber (po refleksyi — wolno podchodzi do Władki). Ja wam się... Ja wam się wywdzięczę... Zobaczycie.

Władka. Z pana to śmieszny facet (śmieje się).

Kolber (jak zwykle nie zbyt blisko Władki). Pośmiejecie wy się...

Władka. Ha, ha, ha!

Kolber (jeszcze więcej się odsuwa — patrzy chwilę na Władkę). Czy ty przestaniesz nareszcie!? (uderza krzesełkiem o podłogę — Władka przelękniona urywa śmiech).

(Wchodzi Jerzy, patrzy na obojga — pauza).

Jerzy (bierze palto na ramię. — Do Władki). Pójdziemy.

(Kolber przysuwa się z głębi do Jerzego, jakby go chciał zapytać o coś. Jerzy w jego wzroku, zachowaniu się wyczuwa burzę — prostuje się. Spotykają się obaj wzrokiem; Kolber patrzący z nienawiścią, Jerzy na pół tryumfująco; udaje, że nic nie wie. Kolber podchodzi jeszcze bliżej).

Kolber (opanował nerwy, mówi półgłosem). Jakże panu grają sztukę?

Jerzy (zadziwiony spokojnym tonem Kolbera. Niepewnie, po pauzie:). — — dobrze... (Kolber odchodzi. Jerzy odprowadza go wzrokiem. Pauza niemej gry).

Władka (umyślnie głośno). Panie Jerzy mieliśmy iść.

Jerzy (zamyślony). Zaraz (podchodzi do estrady, przez chwilę patrzy wewnątrz — —

nerwowy zwrot wstecz). Władka!! — — Masz co pieniędzy?

Władka. Mam coś złotówkę. Czy panu potrzeba?

Jerzy. Nie. Dobrze, że masz, bo ja nic nie mam. Słuchaj Władka: ruszaj do tej cukierni — no wiesz — do tej przy skwerze. Za kwadrans tam będę.

(Władka patrzy nań niedowierzająco).

No, będę, nie bój się. Muszę jeszcze chwilę zostać.

Władka. Przyjdziesz? No to do widzenia... (idzie, od drzwi wraca). Jerzy... ale ty przyjdziesz?

Jerzy (ostro). Powiedziałem. (Mięknie w jej wzroku). Przyjdę... przyjdę... (ogląda się). Nie za kwadrans... za... pięć minut. Za pięć minut będę...

Władka. Pamiętaj!... Do widzenia.

Jerzy. Do widzenia.

(Władka wychodzi... Jerzy spogląda na Kolbera, myśli przez chwilę, następnie wolno idzie doń. Na pół drogi przystaje, waha się, następnie, jakby powziął decyzyę, zbliża się do Kolbera —).

Bardzo dobrze grają, bardzo dobrze.

Kolber (przez ramię, obojętnie). To mnie cieszy. (Odchodzi w kierunku Rozlenieckiego, który w tej chwili wraca z za kulis).

(Jerzy odruchowo zaciska pięści, patrzy za Kolberem).

Rozleniecki (do Kolbera — nieśmiało). Ale ona ma piękny głos... jak dzwonek...

Kolber. Kto taki?

Rozleniecki. Pyta się... No któżby... ta... no ta twoja kuzynka.

Kolber. A ona... a tak dość miły.

(Pauza. Jerzy chodzi po kątach zaambarasowany, zajęty jakąś dręczącą myślą).

Rozleniecki. Ona tak — — (pauza mała). Nie wiem dlaczego, ale ona, tak mi się zdaje, musi być bardzo dobra. Ja nie wiem... tego... ale tak jej z oczu patrzy...

Kolber. Mój drogi nie mówmy o Maryni, bo się rozirytujesz i znów mnie zwymyślasz.

Rozleniecki. Ta gadasz... Przecie się znowu ja nie irytował... (Znowu pauza). Taak... Z oczu jej patrzy... A wierz, ona ma bardzo ładne oczy.

Kolber. Franek, tyś się gotów zakochać.

Rozleniecki. Ee! gadasz.

(Z estrady wchodzi Marynia).

Marynia (widzi Jerzego w płaszczu). Panie Jerzy... co to? (podchodzi). Wychodzisz...

Jerzy (niezadowolony). Nie... tak tylko — —

Marynia. A palto? Chciałeś wyjść.

Jerzy (z decyzyą). Już nie... (zrzuca palto). Nie pójdę...*).

Marynia. Czy wiesz, sprowadzili konkurenta dla mnie. — —

Jerzy. Cóż ja mam mówić?

Nic nie mówisz?

Marynia (rozpacznie). Ależ Jerzy, tu wszak ważą się losy moje, nasze losy... Tu o naszą przyszłość chodzi! (z gorzkim wyrzutem). Jerzy!

Jerzy (rozdenerwowany, zły). Wszak wiesz dobrze...

Marynia (patrzy nań chwilę boleśnie). Co to będzie...

Jerzy (ruchy rąk coraz bardziej szparkie, coraz bardziej bezcelowe — sucho:). Nie jeden raz... Zastanawialiśmy się nad tem... Żarło nas... Zawsześmy do jednego i tego samego wyniku dochodzili... Zdeptało mnie już to przeklęte pytanie...

---

*) Podczas rozmowy Maryni z Jerzym z garderoby dam wyszła Kolberowa z Nitowiczem; Zawiązali rozmowę z Rozlenieckim i Kolberem... W chwilę później podszedł do nich i Adaś. Rozmowa.

Marynia. Więc? — —

Jerzy (jeszcze hamując wybuch). No czekać! — — Przecież teraz nie mogę się żenić. Podarty mundur i dwie szuflady erotyków: to nie majątek... Czekać, może się czego dobiję (rzuca czapkę w kąt).

Marynia (omdlałym głosem). Ale teraz... co teraz robić?...

Jerzy (prawie z nienawiścią). Teraz! Nie dobijają cię przecie na razie... Konkurent — konkurent nie mąż.

Kolberowa. Maryniu...

Marynia (opryskliwie). Na scenę idę zaraz — (do Jerzego). Nie bój się; dobiją mnie... (patrzy na gromadkę rozmawiających w głębi). Rada familijna!

Jerzy (traci władzę panowania nad sobą). No Boże mój, ale ja teraz nie mogę!! Z głodu zdechniemy. Kto teraz wie o jakimś tam Skierskim.

Marynia. Boże! Boże! (odchodzi — zbliża się do niej Rozleniecki).

Rozleniecki. Pani doskonale... w tej... w kostyumie.

Marynia. Czy pan mnie chce bawić.

Rozleniecki. Tego..

(Marynia odchodzi).

Rozleniecki. Piekna dziewucha...

Kolber (zbliża się do Rozlenieckiego). Zostaniesz u mnie na kilka dni?

Rozleniecki. Niby... na kilka... toby można... Wiesz ty Kolber... ona jest ładna... ta Marynia.

Marynia (do Jerzego na pół słuchającego). Bo widzisz... mama... Mama gwałtem chce, abym wyszła... A ja sama. — — No poprostu nie mogę być u Marty... No nie mogę... Jak w sieci... Zdaje mi się, że cała jestem omotana, związana, spleciona... A nie mam siły...

Jerzy (z bezwiednym patosem). Ja jeszcze gorzej. Mnie już te sploty przygniły do duszy!

(Marynia odchodzi — znów Rozleniecki na drodze).

Rozleniecki: Pani znerwowana, aż strach.

Marynia (prosząc). Panie Rozleniecki — niech pan będzie łaskaw nic do mnie nie mówić. Dobrze? Bardzo pana proszę... Niech się pan nie gniewa, ale ja... widzi pan ja zaraz pójdę grać bardzo trudną scenę.

Rozleniecki (miękko). Ta...

Marynia (podaje mu rękę). Nie będzie się pan gniewał. Potem pomówimy... Nie teraz, zwłaszcza nie teraz.

Rozleniecki (coraz więcej wzruszony). Ja proszę pani... Ta. To ja taki prosto niedelikatny. Ta ja nie powinien... Ta... A któżby się gniewał. (Marynia wraca ku Jerzemu — Rozleniecki za nią). Któżby się gniewał? — — Jaka ona dobra, jakie to dobre, jak, jak... Boże ty mój! (Pauza. Do Kolbera). Wiesz ty Kolber: w kobiecie dobroć — to grunt. To ja ci powiadam! grunt...

Marynia (do Jerzego). Słuchajże... Może po tej komedyi... Może krytyka zwróci uwagę... Może... Musi mieć powodzenie (chwyta go za rękę). Musi... Jerzy musi mieć powodzenie...

Jerzy (wyrywa rękę). Nie czas na illuzye...

Marynia (pod suggestyą swojej myśli). Teraz scena z cześnikiem... (powtarza, patrząc gdzieś przed siebie:). Wzrokiem — plunąć — mu — w twarz. Może zagram! (radośnie). Jerzy, a jeżeli będzie sukces? Jerzy!!

Kostecki (z głębi, od sceny). Starościna na scenę!

Adaś (rzuca towarzystwo — biegnie do kulis). Z cześnikiem!

Marynia (do Jerzego — nie może tchu złapać). Kulminacyjna!! Jerzy! (biegnie co sił do drzwi — z rozmachem wpada na schodki i — na scenę).

Adaś. Z cześnikiem! — z cześnikiem!

Kolberowa (do Kosteckiego). To teraz?

(do panów). Chodźmy, chodźmy patrzeć (widoczne rozdenerwowanie, zwłaszcza u Adasia i Kosteckiego. Z wytężeniem patrzą wewnątrz. Nitowicz podchodzi do Jerzego).

Kolber (do Rozlenieckiego). Na święta wyjeżdżasz z domu?

Rozleniecki. Nie...

Kolber. Wiesz co, możebyś do nas przyjechał w takim razie. Bądźcobądź przyjemniej by ci było, niż tam na pustkowiu.

Rozleniecki (po dłuższym namyśle). Dziej się wola Boska — przyjadę!

Kolber. No to, niechże cię uściskam (całują się).

Kostecki (ciągle wlepiony wzrokiem w kulisy). Dobrze, dobrze mówi...

Jerzy (do Nitowicza). Słuchaj Nit — przechodziłeś ty kiedy takie wściekłe uczucie; nie kochasz kobiety, rozumiesz nie kochasz.

Nitowicz. Ale kochałem.

Jerzy (spogląda na niego badawczo). No niech będzie. — — Więc, nie kochasz, a widząc ją straconą dla siebie, uczuwasz żal — poprostu żal.

Nitowicz (patrzy mu prosto w oczy). Kajdanki... Kajdanki... Kochasz ją jeszcze.

Jerzy. Nie kocham.

Nitowicz. Ale ją kochałeś .. a miłość to mściwa pani.

Jerzy. Nie kocham i nie kochałem. Uwodziłem: — zgoda. Łotrem mogę być, głupcem nigdy.

Nitowicz. Fiu, fiu! Kolber by się podpisał pod taką sentencyą (zaczyna go traktować coraz ironiczniej). Zatem teraz jesteśmy w domu; ty ją tylko uwodziłeś.

Jerzy. Tak jest. (Z dziką energią). Bo ja nie będę kochał kobiety. Rozumiesz!

Nitowicz. Rozumiem.

Jerzy. Ja muszę się przecie czemkolwiek odróżnić od Adasia, Kosteckiego, Sobiaka, od zwyczajnej pchły-człowieka (coraz zacieklej). Nie będę komparsem w tej farsie dwutygodniowych wniebowzięć miłosnych.

Nitowicz (ogląda sią naokoło). Nie ma tu gdzie stenografa?

Jerzy. Ty, nie drwij Nit — ja potrafię plunąć.

Nitowicz. No więc pluńże teraz na Marynię.

Jerzy. Wątpisz? — Zaczekaj (podchodzi prędko po płaszcz, nakłada, a równocześnie mówi). Tam na dole czeka na mnie Władka: chcesz? Bądź zdrów — (zmierza ku wyjściu).

Nitowicz. Oczywista, idź do Władki, Marynia ci gra sztukę, to nie zobaczy.

Jerzy (staje zelektryzowany — odwraca się do Nitowicza, wzrok mu się jarzy złością. Po pauzie). Czego ty w końcu chcesz odemnie.

Nitowicz. Ja tylko podtrzymuję konwersacyę, tyś ją wywołał.

(Jerzy niepewny, co ma robić. Po chwili drzwi się gwałtownie otwierają; wchodzi Władka).

Władka. Panie Jerzy... (patrzy na niego). Czy...

Jerzy. Zaczekaj — idziemy (do Nitowicza). Umiem podeptać uczucie — co? (wychodzą).

Nitowicz (do siebie). Zobaczymy... Pieni się kochana fala życia — pieni!!

(Kurtyna spada).

ODSŁONA DRUGA.

Pokój bawialny u Kolberów. Zwyczajny salon, ani zbyt wytworny, ani zbyt skromny. Fortepian z odkrytą klawiaturą. W głębi choinka. Mrok zimowej szarej godziny. — Troje drzwi: boczne (A i C) i na prost widza (B). Ostatnie na pół otwarte.

Na scenie Marynia twarzą do widza, zagłębiona w fotel nieruchomo patrzy przed siebie, z wlepionemi w podłogę oczami. Twarz nie zdradza zgoła żadnego wrażenia.

Z pół otwartych drzwi (B) dolatuje nuta najmodniejszej operetki, śpiewana przez Kolberową. — Po pauzie z trzaskiem otwierają się drzwi (A) — wpada Jerzy.

Jerzy. Niepodobieństwo wytrzymać! Jak psa mnie traktuje. Kolber.

Marynia (nie zmienia pozycyi). Nie wołaj tak głośno, bo Marta obok.

Jerzy (nachyla się nad nią). Jak — psa — mnie — traktuje! (nerwowo chodzi po pokoju). A przecie nic mu nie mogę powiedzieć. Uprzejmy gospodarz! — Nic mu nie mogę powiedzieć. Miłość to mściwa pani! (staje przed Marynią). Nic mu nie mogę powiedzieć! (znów chodzi).

Marynia. Nie zważaj na niego. — — Kto gra?

Jerzy. Nitowicz, doktór, Adaś i on.

Marynia. W winta? — — -- A Rozleniecki?

Jerzy. Przypatruje się... Nic mu nie mogę powiedzieć! Teraz cię przecie nie opuszczę. A niech mnie już ta moja trucizna do cna upije! Niech mi ubliża — nie pójdę.

Marynia. Mną się nie krępuj.

(Jerzy spogląda na nią, przystaje, następnie wolno, z efektem idzie po czapkę. Marynia uprzedza jego zamiar, zatrzymuje go ręką).

Marynia. Jerzy!

Jerzy. Jeżelim ci zbyteczny...

Kolberowa (z za sceny). Maryniu! Maryniu!

Marynia (ciągle zatrzymuje Jerzego). Słucham!

Kolberowa. Czy ten czarny pasek ty masz na sobie?

Marynia. W walizce koło okna... — — Nie chciałam cię urazić? Jerzy... Słuchaj. Za pół godziny wszyscy idą do Klonowskich. Marta już się zbiera.

Kolberowa (z za sceny). Maryniu nie mogę znaleść.

Marynia. Aa! to już rozpacz doprawdy (pospiesznie idzie do drzwi — wychodzi).

Jerzy. Potępienie!! Każde ścięgno nerwów ryczy: litości (podchodzi do fortepianu, wybija bezładne akordy). Żeby ona już raz nareszcie... (chodzi nerwowo).

Marynia (wraca). Nic a nic sama nie znajdzie... (przymyka starannie drzwi). Słuchaj Jerzy. Więc Marta idzie do Klonowskich zaraz, panowie zostają, bo Rozleniecki ma się oświadczyć dziś jeszcze — więc panowie zostają: Rozlenieckiemu trzeba wszystko ułatwić naturalnie. Za pół godziny wyjdą wszyscy. Przeczekaj ten czas vis à vis w tej cukierni. Gdy ich zobaczysz wychodzących, przyjdź tutaj. Ja zostanę.

Jerzy (bierze czapkę, podchodzi do drzwi, chcąc się udać do sąsiedniego pokoju i pożegnać grających. Ode drzwi wraca — kładzie czapkę z powrotem). Nie pójdę! Nie teraz. — — Z doktorem muszę się jeszcze zobaczyć.

Marynia. Co tobie? Zdawało mi się... Dlaczegoś ty to takim dziwnym tonem powiedział...

Jerzy (ciężko oddycha). Jak to dobrze, że ty idziesz za mąż...

Marynia. Dziwne... Doprawdy dziwne, a jednak czuję, że to moim ostatnim obowiązkiem względem ciebie. Może to naiwne. — — Nie: muszę tak. — — No poprostu, chcę się rozstać z tobą, póki, pókim wolna jeszcze.

Jerzy. Aa! wy kobiety dobijać możecie swoim liryzmem i swoją...

Marynia (łapie się za głowę, jakby chciała uszy zasłonić). Jerzy!

Jerzy. No... no! Maryniu! — — (całuje ją w rękę). Widzisz Maryś... Bo ty zanadto silnie wszystko odczuwasz. Mam serce pełne... pełne goryczy -- nic dziwnego, że cierpkiem słowem cisnę niekiedy. (puszcza ją naraz). Bo gdybyś ty wszystko wiedzieć mogła!

Marynia. No?

Jerzy (siada na fotelu — pauza — zrywa się). Jedno z drugiem toby o szał mogło przyprowadzić. (Wchodzi doktór). Jesteś!

Marynia. To pan doktor nie gra?

Doktór. Skończyłem mojego robra. Potem ja siądę — wstanie mecenas. Kolejno zmieniamy się.

Marynia (widzi, że Jerzy niepokoi się — odchodzi). Zostawiam panów — idę Marcie pomódz w ubieraniu się (wychodzi).

Jerzy. No — mamy chwilkę czasu. Gadajcie.

Doktór (wymijająco). Cóż tu można powiedzieć. To jest takie stadyum choroby, gdzie wszelkie wyrokowanie jest przedwczesne.

Jerzy. Niepodobieństwo, aby nic nie można określić.

Dotór. Jak dotąd: nic.

Jerzy. To wścieklizna istna! Taka niepewność rozpaczna!

Doktór. Jutro raniutko do was zajdę.. Zobaczymy.

Jerzy. Do rana to może zdechnę z oczekiwania.

Doktór. Te wasze nerwy to śmierć.

Jerzy. Te moje nerwy — to potęga! — Nie długo już...

(Wchodzi Marynia).

Doktór. Ććć! Panna Marya.

Jerzy. A zatem panno Maryo do widzenia.

Marynia (cicho). Skoro wszyscy wyjdą: czekam.

(Jerzy kłania się i wychodzi. Na scenie zostaje Marynia i doktor. Kłopotliwe milczenie trwa przez chwilę).

Doktór. I cóż słychać?

Marynia. Nic.

Doktór. Nic?

(Marynia podchodzi do choinki i zaczyna zapalać świeczki. Znów milczenie. Doktór patrzy na to zapalanie. Siada przy fortepianie, sugestyonowany odkrytą klawiaturą, zaczyna jedną ręką wygrywać — twarzą ciągle zwróconą ku Maryni. Pauza).

Doktór. Ta jeszcze nie zapalona.

Marynia. Która?

Doktór. Ta...

Marynia. Aha! (zapala ją).

(Doktór wstaje, podchodzi do drzewka, pomaga zapalać. Skończyli. Marynia idzie do fortepianu, zaczyna grać niedbale z nut rozłożonych na pulpicie).

Doktór (ciągle przy drzewku). Dziwnie się jakoś ta choinka pali.

Marynia. Smutnie.

(Pauza — Wchodzi Kolber).

(C. d. n.)



A. S. PROCAJŁOWICZ. Z CYKLU: »NOKTURNY«.

BOGUSŁAW ADAMOWICZ.

WSTYD.

Nad łożem Niewinności wielkiej i dziewiczej
Całe chóry aniołów niewidzialnych wieją,
One dyszą w uśmiechu, w głosu jej słodyczy
I w spojrzeń jej pogodzie, świty zórz ich dnieją.

Anioły, liliowością bladą idealne,
Wstydów duszy wiosennych... one nad jej skronią
I wkoło jej kibici krążą niewidzialne,
I łona jej świetlanej półsenności bronią.

I ducha jej kołyszą... stroją wdzięku czarem
I przed wzrokiem natrętnych, co spojrzeniem plami,
Spuszczają rzęs zasłony... i przed Grzechu żarem
Czystą postać śnieżnemi okryć chcą skrzydłami.

One wieniec mistyczny dla jej skroni plotą,
Wplatają aureole w jasne jej warkocze —
Anioły lśniące gwiazdą Niewinności złotą...
Biedne, smutne anioły, chociaż tak urocze!...

Bo ledwo miłość w sercu zatli się dziewiczem,
Po skrzydłach ich świetlanych dreszcze grozy biegą:
I stąd ta trwoga drżąca, jak przed czemś zbrodniczem,
Przy pierwszem całowaniu ust ukochanego.

MŁODOŚĆ str. 202.

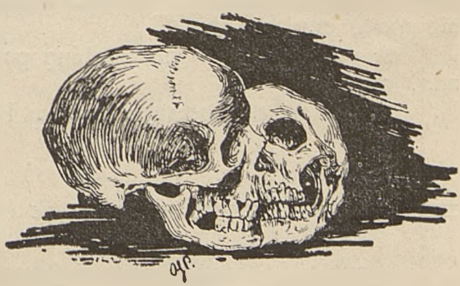
Gdy on zbliża się ku niej — one czujną rzeszą
W spojrzeniach jej błagalnych, chcą ją przed nim bronić...
Gdy sięga do jej rąbków -- jak na alarm spieszą
Wstydem złoto-różanym nagość jej obsłonić.

I pasują się długo... przeciw chuciom rwącym
Walczą z wrogiem w rozpaczy pełne drżeń i łkania —
I nareszcie w tym krzyku — w tym rozdzierającym
Krzyku jej niewinności — słychać ból konania...

Już padły podeptane... Już nad łożem ciemnem
Zagasły cudne blaski... Tylko cisza głucha
Szemrze jeszcze ostatniem tchnieniem ich tajemnem
Tę ostatnią modlitwę ich nikłego ducha.

O świcie — smutek wieje z oczu jej — już mglistych —
Jak dym od zgasłej gwiazdy nad zamierzchłą tonią...
I niema już, o niema jej aniołów czystych
I wieńca liliowego, z tą mistyczną wonią! —

Z „Tragedyi krwi“.



DRZAZGI.

Drzazga.

Bodaj jeszcze w pierwszej klasie gimnazyum wyczytałem u jakiegoś rosyjskiego autora, że w któremś z północnych plemion fińskich (u Czuwaszów, o ile pamiętam) jest zwyczaj, iż baba po wyjęciu drzazgi z chorego palca, kłuje nią bolące miejsce. Ma to dodatnio wpływać na szybsze wyzdrowienie rany. Nie wiem, o ile autor jest w zgodzie z prawdą etnograficzną — ale opis tej sceny zapamiętałem doskonale i zawsze mi owa metoda czuwaska przychodzi na myśl, gdy się wpatruję w bolączki społecznej natury. Bo ile my tych drzazeg kochanych nosimy w swojem ciele! Często aż pod serce niejedna zawędruje.

Przydałaby się medycyna północnych dzikusów: wyjmować drzazeczki, a nadewszystko — kłuć niemi... aż do skutku. Może chore miejsce wydobrzeje.

»Młodość« chce się oddać takiemu „pogotowiu« i w tej myśli otwiera stałą rubrykę pod tytułem »Drzazgi«. Mamy nadzieję, że postępuje w dobrej wierze i dobrej sprawie służy.

Krytyka i trzech korybantów.

(M) Trzech korybantów prowadzi naszą dziesiątą Muzę, w żalu swego dziewictwa nieutuloną; trzech na wyżyny Parnasu ją ciągnie, nikiej radcy warszawską damę na Zawrat.

Ale napróżno strychulcem Temidy pan Spasowicz, napróżno skrzydełkami mola pan Chmielowski, napróżno pasem katolickim pan Tarnowski — Muza nie może czy nie chce.

A gdyby tak — hej! babinę pod ramie piknie wzięli?... i hajda na Parnas? co?

Ale ci na to potrzeba juhasa. Haj!

O krytyce pana Trepki.

Krytykę dzieł sztuki pisze się pono gwoli wykształcenia estetycznego publiki, jak również prostowania pojęć artystycznych. Taką zapewne kierowana myślą »Nowa Reforma« krytykę dzieł plastycznych powierzyła niejakiemu panu Józefowi Trepce. Pan Trepka jest wrogiem »modernizmu«. Wolno mu

być, każde przekonanie, byle szczere należy szanować, a każdy sąd o dziele sztuki, poparty odpowiednim argumentem cenić. Niezbędnem tylko jest, aby krytyk należał do ludzi istotnie odczuwających piękno. Tego drobiazgu panu Trepce brak. Znajomość sztuki pozbierał po pracowniach znajomych malarzów i po dziennikarsku posługuje się kilkoma zdawkowymi wyrazami technicznymi. Istotnego kultu dla piękna, choćby dyletanckiego nie odczuliśmy w recenzyach pana Trepki ani razu. Nie z tego jednak chcemy mu robić zarzuty. To jest jego osobista rzecz i jego osobiste nieszczęście. Nie będziemy kwestyonować również jego sądów o pojedynczych dziełach sztuki — te jego sądy uwieczniły się dostatecznie i nie długo przejdą w stan przysłowiowy, ostatecznie nie sztukę, ale samego pana Trepkę kompromitują.

Natomiast mamy prawo wymagać od krytyka sztuki, aby nie stał w rozbracie z zasadniczemi definicyami logiki, czy psychologii. Co znaczy naprzykład taki kwiatuszek pojęć pana Józefa Trepki: przy tego rodzaju malowaniu indywidualność artysty ustępuje na plan drugi, czyniąc miejsce*) przedewszystkiem wiernemu i objektywnemu oddaniu natury. Więc dla pana Trepki indywidualność artysty jest czemś w rodzaju przedmiotu kieszonkowego, dającego się dowolnie usuwać i przysuwać, albo zupełnie pozbyć się przy »malowaniu wiernem i objektywnem«, a nie ta rdzenna zasadnicza oś odmienności jaźniowej, nie znamienna linia demarkacyjna co oddziela naturę jednego człowieka od drugiego. Czyżby więc malowanie »objektywne« (?) miało wpływać w jakikolwiek sposób na zanik indywidualności artysty? Czy przy »wiernem oddawaniu natury« indywidualność tego artysty nie ma pola do wykazania się. Pan Trepka nie powinien chyba już mieć wątpliwości w tej mierze, skoro bierze na swe barki obowiązki krytyka estetycznego.

Ale panu Trepce darowałby każdy z chęcią rozbieżność z pojęciami naukowemi, gdyby mniej niemi szastał, a za to jednostronniej postępował z malarzami. Ale co ma znaczyć naprzykład taki ustęp: »Tak często obsyłający wystawę Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych p. Wyspiański, wystąpił na wystawie »Sztuki« bardzo skromnie zarówno pod względem jakościowym jak ilościowym. »Studya« są jota w jotę podobne do setki innych studyów tego artysty, o którego pracach i kierunku twórczości publiczność tutejsza wyrobiła już sobie dosadne pojęcie, jakiego powyższe »Studya« na korzyść zmienić nie mogą«.

Czy to jest krytyka? Wszakże panu Trepce łatwo było z tych kilkunastu terminów malarskich, którym niezmiennie włada, jak: koloryt, brawura, traktowanie etc, dowolnie skombinować jedną więcej »krytykę fachową«. Pan Trepka jednak nie śmiał nawet i tego uczynić i skrył się za zwykły dziennikarski kruczek. To się nazywa panie Trepka »unikanie prawdy«. Pan

*) Czynić miejsce: piękna polszczyzna (przyp. red.)

Trepka wogóle dziennikarskie metody posiadł należycie. Umie naprzykład dostatecznie posługiwać się bronią t. zw. »przemilczania«. Tak jest. Bo kochany panie, co znaczy, że w recenzyi pańskiej, pisanej z katalogiem w ręku, nie ma ani słowa np. o pp.: Bruzdowiczu, Stanisławskim, Żelechowskim? Czy my mamy wierzyć tym pogłoskom o osobistej i tylko osobistej niechęci do niektórych z nich? To by jednak tylko pana potępiło, więc chcemy przypuszczać, że to tylko dziennikarski sposobik, ten sposobik co już niejednokrotnie zabijał, gdy się dostał w godne ręce, a który zawsze służy za sposób walki prawdziwym miernotom tak umysłowym jak moralnym, i tym, co mają odwagę ocierać się plecami o czyny, które omal że nie graniczą ze zwyczajną nieuczciwością.

Nam osobiście krytyki pana Trepki nic jeszcze nie szkodzą, i nic z nami nie mają wspólnego. Tem łatwiej nam zabrać głos. Nikt nas nie posądzi o interes. A głos zabrać musimy, aby nam nikt później nie zarzucił, żeśmy z niemotą i biernością patrzyli, jak najszczersze chęci i najczystszy kult sztuki naszych poprzedników przesycano przez filtr nieuctwa i oddawano w ręce takich panów Trepków.

Podpisali:

Jan Grendalczyk, Maryan Kępiński, A. S. Procajłowicz, Kazimierz Bisier, Piotr Kranodębski, Adam Krotochwila, Michał Wasyliszyn, Wilhelm Pichel, Stefan Bukowski, Władysław Kaszyński, Juliusz Pol, Filip Demczuk, Józef Krasnowolski, Henryk Szczygliński, Jan Bukowski, Stanisław Kamocki, Leopold Gottlieb, Filip Szczamburski, Wilhelm Mitarski, Jan Sobecki, Witold Florkiewicz, Jan Buraczek, Honorat Nowolecki, Tadeusz Noskowski, Jan Szczepkowski, Modest Sosenko, Bronisław Kowalewski, Teodor Ziomek, Arkadyusz Kowalewski, Stanisław Goldfinger, H. Bogacki, Bronisław Pelczarski.

MŁODOŚĆ str. 206.

AKADEMICKIE KOŁO SZKOŁY LUDOWEJ *).

Taką nazwę nosi najnowsza instytucya akademicka w Krakowie i w nazwie tej streszcza bodaj konkretny program swojej działalności: stworzono ją dla pracy nad ludem i zrekrutowano z jednostek, które przynajmniej teoretycznie zaliczają się do szeregu niezależnej inteligencyi społeńzećstwa.

Jeżeli dodamy jeszcze dwa przymioty: energię młodzieńczą i zapał (podobno znowu teoretyczny), to odrazu dostrzeżemy różnicę, jaka powinna zachodzić między »kołem akademickiem« a wszelakiemi innemi „kołami pań», »kołami miejscowemi«, i t. p. niewinnemi instytucyami, z ks. proboszczem, jako przewodniczącym, z panią rejentową jako zastępczynią i z panem aptekarzem, jako sekretarzem i filarem towarzystwa — na czele.

»Kołu akademickiemu« jako takiemu, nie wolno zaspakajać i li tylko zaspakajać snobizmu demokratycznego dzisiejszego przeciętnego człowieka »postępowego«, który jednoguldenową wkładką roczną i tytułem członka Towarzystwa szkoły ludowej albo »oświaty ludowej«, najspokojniej układa przyjazny kontrakt z własnem sumieniem i atawistycznemi wspomnieniami tych chwil, kiedy to, panie dobrodzieju, rewolucye przez głowę przechodziły, panie, praca nad ludem, a jakże... Jeżeli jednak taki człowiek w chwili rozczulenia tak poprostu, zwyczajnie zacznie się tłómaczyó, że »głupiby był teraz się, panie, do czego mieszać, skoro się ma żonę i dzieci — a pensya już chwalić Boga nie kiepska — to mimowoli trzeba mu przyznać choć z jego punktu widzenia racyę i przejść nad jego szczerą konsekwencyą do porządku dziennego. Inna zgoła rzecz, gdy się weźmie kochanych naszych akademików pod obserwacyę. Wszakże ci dzielni młodzieńcy zawsze i wszędzie utrzymują się na zawrotnych wysokościach bezinteresownej polityki i poświęcenia ideowego. Ciasno im biedakom w tych koturnach po naddziadach pono jeszcze oddziedziczonych — ale je noszą i uporem utrzymują postrzępione resztki dawnej purpury. Taki »postępowy« c. k. prawnik nawet w furyi najszczerszej szczerości nie przyzna się do filisteryi lub karyerowiczostwa.

Nam więc nie pozostaje nic innego, jak tylko wierzyć i wyciągać wszystkie możliwe konsekwencye. Nam pozostaje tylko wierzyć — a »kołu akademickiemu« przypada w udziale obowiązek przesiania wszelakich plew i odgarnięcia zdrowego ziarna. (Ten stary szatan — optymizm każe przypuszczać, że i ziarno się znajdzie). A przedewszystkiem na to sito powinni się dostać t. zw. l u d o w c y. Bardzo to ciekawa gromada ludzi. Bardzo.

---

*) Artykuł ten pochodzi od jednego z kolegów medyków — i ze względów, z treścią i konsekwencyami niniejszego artykułu nie mającymi nic wspólnego — musi pozostać podpisany li tylko inicyałami. Autor na każde osobiste żądanie gotów jest odchylić przyłbicę. Redakcya »Młodości« zaś solidaryzując się najzupełniej z przekonaniem i wywodami autora, przyjmuje na siebie całkowitą odpowiedzialność.

W domu rodzicielskim szczepiono weń pierwsze postulaty moralności życiowej w prawach krótkich, ale dobitnych, n. p.: »Ciche ciele dwie krowy ssie«, »pokora niebiosa przebija«, oraz kwintesencya: »jak się nie będziesz ośle uczył, to nigdy nie będziesz nawet adjunktem podatkowym«. — I uczył się »osioł« rodzicom na pociechę, ojczyźnie na chwałę; przeszedł gimnazyum, w żadne głupstwa się nie wdawał, złych książek, żadnych Darwinów ani Swiętochowskich nie czytał i chwalebnie dostał się do uniwersytetu.

Pierwszym świtem kultury był mu komers, a pierwszem hasłem: »Koledzy! przez lud do ojczyzny, — my pokażemy wrogom biednej Polski-matki, że potrafimy rządzić »Bratnią pomocą« Uniwersytetu jagiellońskiego! Wszystko co złe i zgniłe w kąt rzucimy *) i t. p. W czasie obowiązującej po takich wylewach uczuć wzniosłych wycieczki *extra muros*, starsi koledzy wytłómaczyli »embryonowi« w treściwych zarysach istotę polityki akademickiej — i wsiąknął biedak w tę politykę po uszy.

W wyborze stronnictwa dopomógł mu instynkt samozachowawczy; głuchem czuciem politycznem odgadł, że dzisiejszy człowiek musi być choć trochę postępowy, — to mu dodaje piętna Europy. Pozostał tylko wybór rodzaju i odcienia postępowości, jak najbardziej łagodnej. Najdogodniejszą okazuje się etykieta: ludowiec. (Ci, śmielszej natury i lepiej »przystosowani do życia« zapisują się do Kongregacyi Maryańskiej). Ludowiec nikogo nie razi, dziś każdy kochalud. A zresztą jak może razić, kiedy akademik-ludowiec, to jest najidealniejsze nic polityczne. Z ludem ma tyle wspólnego, że pewna grupa takich ludowców pochodzi z ludu i skapliwie stara się przeciąć wszystkie nici, wiążące go z klasą macierzystą, aby czemprędzej dopłynąć do spokojnej przystani biurokratycznego środowiska — lub co jeszcze częściej bywa; absolutnie z ludem nie ma nic wspólnego i mieć nie chce. »Kocha« lud — więcej nic.

Tak genetycznie skonglomerowana partya ludowców-akademików tworzy dziś podobno w Krakowskiej wszechnicy partyę większości. Pięcioletni mój pobyt w uniwersytecie podał mi nie mało spostrzeżeń, z których mogę sobie wytworzyć następującą charakterystykę tego odłamu: co do etyki politycznej stoją ci ludzie na stanowisku pierwotnej hordy ludzkiej: kto nie nasz, ten wróg. Nie raz spotkało mi się słyszeć ludowca głosującego za wnioskiem, który kategorycznie stał wbrew interesom jego partyi, a głosującego tylko dlatego, że przeciw wnioskowi głosowali socyaliści. (Ludowiec jest wrogiem socyalisty *et contra*). W polityce swojej nie chcą widzieć żadnych dalszych planów perspektywistycznych, żadnych ustępstw humanitarnych. Jedyna norma postępowania: bezpośredni interes i komenda z góry. — »Komenda z góry« wychodzi zazwyczaj od kilku zręczniejszych indywiduów, którzy w tej stojącej wodzie bierności społecznej misternie wywijają koziołki polityki *pro*

*) Autentyczne.

domo sua i nawet w czystej wodzie potrafią uszczknąć łakomy kąsek. Znamy ich wszyscy. Na szczęście mniej ich jest — więcej tych pierwszych, zwyczajnych biernych bierności i niewinności kulturalnej. Niewinności, przefiltrowanej do tego stopnia, że nie uczuwającej całego cynizmu czy oszustwa politycznego, jakiego się stają sprawcami.

Zdemaskowanie tego cynizmu powinno być pierwszym czynem akademickiego koła. Koło to powinno bez wahania rzucić im w twarz pytanie: jakimi wy ludowcami jesteście, skoro nie znaleźliście z pośród siebie ani jednego człowieka, coby był zdolny stanąć na czele naszej instytucyi i woleliście ją oddać w ręce człowieka, który z całą uczciwością zaznacza bezpartyjność polityczną, cechę towarzysko i moralnie bezwątpienia cenną — ale bądź co bądź rodzącą przypuszczenie, że dlań sprawa ludowa ma znów li tylko znaczenie teoretycznej sympatyi *). Gdzież się podziały te dzielne sztandary ludowe — ci, co to przez lud do »Bratniej Pomocy«... przepraszam do Ojczyzny?

A jednak nowa instytucya ma prawo wymagania od nich nietylko współpomocy, ale i poświęcenia. Naturalnie nikt od Was Panowie nie będzie wymagał, abyście na wzór rosyjskich narodników »szli w naród«, zamykali się na odludziu i zapominali o swojej karyerze. Oho! Na to ostatnie niktby was »nie wziął«. — Ale zato my »niełudowcy«, albo i ci »wrogowie ojczyzny« mają prawo wymagać pracy w nowej instytucyi, pracy posuniętej do najdalej idących konsekwencyj. Miejcie odwagę spojrzeć prawdzie w oczy raz chociaż, a nie przypuszczajcie, że obowiązki wasze będą zbyt łatwe. »Akademickiemu Kołu« szkoły ludowej nie wolno być liczmanem demokratycznym, »akademickie koło« musi mieć poczucie świadomego, celowego ruchu społecznego. Musi ten ruch wywołać i podtrzymać. Wypożyczalnia książek, mówka i koncercik, a nawet doroczny »festyn z ogniami bengalskiemi i hołdem Mickiewiczowi na zakończenie« nie wystarczy. My oczekujemy od Was zużytkowania Waszych sił moralnych i intelektualnych **). Dotąd w akademickiem kole nie zrobiliście wy ludowcy nic, — bo nad utworzeniem koła pracowali przeważnie ci, których Wy nie nazbyt cenicie. Zapamiętajcie to sobie Panowie ludowcy: to, co dotąd jest, to nie waszą zasługą. Tych zasług oczekujemy od Was, od młodych, od postępowych, od inteligentnych i niezależnych.

J. L.

---

*) Przewodniczącym akademickiego koła szkoły ludowej wybrano barona Ludwika Puszeta, b. prezesa konserwatywnej »Jagellonii«. (Przyp. Red).

**) Egzystują np. tak zwane »Uniwersytety ludowe« stałe i wędrowne (przyp. red.).

STEFAN NIJA.

TĘSKNOTA.

Idę aleją jaśminów i akacyi, ociężałych w przepychu swych woni.

Kwitną akacye — jaśminy kwitną i serce moje kwiatem tęsknoty kwitnąć zaczęło.

Słońce wyzłaca aleję.

Wiedzie ona do pałacu tęsknot moich.

I widzę już w dali czarne marmury pałacu mego.

Okien dwoje — dwoje oczu — wybarwia krwią słońce — krwią dnia całego.

I wlecze za sobą słońce tę szatę krwawą, krajami zdobną blaskami złota — wlecze tę szatę w ciemnoszafirowe noce zapomnień.

Krwawe oczy pałacu tęsknot moich patrzą mi zawsze w serce moje...

Patrzą bardo długo...

I idę aleją jaśminów i akacyi, a one tak biało kwitną...

Serce moje kwitnie kwiatem tęsknoty.

A pałac tęsknot moich jest cały z czarnego marmuru i ma okień dwoje.

. . . .

Mam wielką komnatę w pałacu tym moim.

Czarnym kirem obite jej ściany, wilgotnym marmurem słana posadzka...

Czarna sala tęsknot...

Daremnie tam nieraz wejść usiłowałem...

Gdy wchodzę — zawsze mi słońce gasnąć poczyna — okna krwią słońca się barwią... mrok wpada w pałac mych tęsknot — w duszę moją...

A na czarnej aksamitem otomanie wiecznie spoczywa bogini tęsknot moich...

Modlę się do niej — napróżno wyciągam ramiona w przestrzenie czarne...

Nieuchwytną jest bogini tęsknot...

I raz tylko widziałem Jej oczy...

Jasność wtedy wielka ogarnęła duszę moją... serce już biło cichy hymn zapomnień... myśl w nieskończoność pięła się błękitną...

Wtedy zobaczyłem Jej oczy.

Duże były...

I szmaragdami wświeciły mi się w duszę... patrzały w nią długo i pytać szeptem poczęły:

...Czemu nie tęsknisz... czemu?...

I stało się, że tęsknię.

. . . .

A pałac tęsknot moich jest cały z marmuru czarnego i ma okien dwoje...

DR. L. WINIARSKI.

RENAN

(Szkic biograficzny).

Renan urodził się w Trequier (Bretonii) w r. 1823. Trequier było wówczas miasteczkiem średniowiecznem o mnóstwie klasztorów i kościołów, istotnem gniazdem mnichów i księży. Nie było tu handlu ani przemysłu, żaden szmer świata zewnętrznego nie zachodził do tej mieściny, gdzie nazywano próżnością wszystko, do czego ludzie nowożytni dążą. W takiem otoczeniu upłynęła mu młodość: zostawiło ono ślady niezatarte na jego duszy, wytworzywszy zupełną nieudolność praktyczną, ale zarazem nienawiść wszystkiego, co jest płytkie i banalne. Natura także przyczyniła się do wytworzenia zeń „człowieka chimerycznego“, była to natura smętna, idealna, marzycielska. Młody chłopak uciekał przed ludźmi, jak wilk, i najchętniej przebywał w samotnych kaplicach pogańskich. Księża dali mu wychowanie czysto religijne, odpowiednie zawodowi, któremu go poświęcono. Zrobiło go ono czystym i niewinnym, ale utrzymało zarazem w zupełnej niewiadomości. Oprócz łaciny i rzeczy religijnych nie uczono go niczego. Wierzył swym mistrzom ślepo i na słowo; trzeba mu było, po wyjściu z pod ich opieki, sześciu lat egzegezy religijnej, by się przekonać, iż nie są nieomylni. W szesnastym roku życia przyjechał do Paryża, by wstąpić do seminaryum, wówczas był już człowiekiem moralnie skończonym. Życie jego było naprzód w Bretonii napisane. „Przeznaczenie me jest być romantykiem, protestującym przeciw romantyzmowi, utopistą, głoszącym politykę realną, idealistą, zadającym sobie wiele trudu, by się wydawać burżua — tkaniną sprzeczności“. To właśnie otoczenie i wychowanie młodości uczyniły go niezdolnym do życia praktycznego. Nareszcie i sam charakter rasy bretońskiej odznacza się idealizmem, dążeniem do celów moralnych i bezinteresownych. Wstąpiwszy w Paryżu do seminaryum św. Mikołaja, poznał literaturę, historyę, wogóle ogładził się trochę, ale i ta szkoła nie nauczyła go myśleć krytycznie, nie nadała mu poważnych wiadomości. Dopiero w seminaryum St. Sulpice zajął się filozofią, językami wschodnimi; wówczas dopiero sprzeczność między chrześciaństwem i myślą krytyczną stała się dlań tak oczywistą, iż nie pozostawało mu innego wyboru, jak porzucić pierwsze, albo też „ugrząznąć w hypokryzyi bez granic“. Ten przełom duchowy był nader silny. Renan przechodził okropne boleści moralne. Cały świat mu zbrzydł, życie straciło swą wartość. Pocieszała go tylko świadomość spełnionego obowiązku. Opuścił seminaryum i zajął się pracą korepetytorską dla chleba i naukową — dla ducha. W czasie tym był z przekonań radykałem i demokratą: nastrój ten wyraził w książce „l'Avenir de la science“. W r. 1847 przedstawił „Memoryał o gramatyce porównawczej języków semickich“, który nagrodzony został przez Instytut. Obecnie jest to praca przestarzała. Następ-

pnie studyował w Niemczech i puścił się w podróż na Wschód z misyą naukową. Rezultaty badań ogłosił w „Mission de Phoenicée“. Pobyt w Syryi i wizye świata boskiego, tak dalekie od zimnej i melancholicznej jego ojczyzny, pochłonęły go całkowicie. Jego marzenia skupiły się na zwalonym łańcuchu gór Galada. Był też w Grecyi, która wywarła na nim olbrzymie wrażenie. Ideał skrystalizowany w marmurze pentelijskim stanął przed nim. Przy widoku Akropolu miał objawienie doskonałości. „Cały świat pozostały — powiada — stał się dla mnie barbarzyńskim. Wschód raził mnie swą pompą i ostentacyą. Rzymianie wydawali mi się brutalnymi żołdakami, wobec szlachetnej prostoty tych obywateli dumnych i spokojnych. Celtowie, Niemcy, Słowianie — czemś w rodzaju Scytów sumiennych, ale ledwo ogładzonych. Karol Wielki — grubym koniuszym niemieckim, a rycerze średniowieczni — ocieżałymi prostakami, którzy wzbudziliby uśmiech ironiczny na ustach Alcybiadesa“. Istniał kiedyś naród arystokratów, publiczność, złożona ze znawców, którzy umieli ocenić piękno Propyleów i posągów Partenonu, którzy chwytali odcienia sztuki tak delikatnie, iż ich nasi wyrafinowani nie chwytają. Objawienie istotnej wielkości głęboko ujęło Renana za serce: wszystko, co znał dawniej, wydało mu się niezgrabnym wysiłkiem jezuityzmu, głupiej pompy i karykaturą. Czerwienił się na myśl, iż mógł kiedyś składać ofiary ideałom mniej czystym, a jednak kochał mimowoli swe grzechy i chęć zostania klasycznym rzuca go na biegun przeciwległy. Sprzeczność tę wyraził we wspaniałej modlitwie do Minerwy, którą wygłosił na Akropolu. *) „O szlachetności! o, piękności prosta i prawdziwa! Przybywam późno na próg twych tajemnic. Przynoszę na twe ołtarze wiele zgryzot. Poświęcenie, które dawałaś rodzącemu się Ateńczykowi, ja musiałem zdobywać drogą żmudnych badań i długich wysiłków. Pochodzę, o bogini niebieskooka, z rodziców barbarzyńców, Cymbrów dobrych i cnotliwych, którzy zamieszkują brzegi ponurego morza, najeżonego skałami i obijanego przez burze. Słońce jest tam zaledwo znane; kwiatami są mchy morskie, wodorośle i muszle kolorowe, znajdywane w głębi samotnych zatok. Obłoki są tam bezbarwne, a nawet radość trochę smutna, ale fontanny zimnej wody biją ze skał i oczy młodych dziewcząt są, jak zielone źródła, w których na dnie srogo pomarszczonych odbija się niebo. Ojce moi oddawali się dalekim podróżom na morzach, których twoi Argonauci nie znali. Słyszałem w młodości pieśni północne; byłem kołysany przy wspomnieniu płynących lodów, mórz mglistych nakształt mleka, wysp zamieszkałych przez ptaki śpiewające, które podczas wspólnego polotu przyćmiewają słońce. Kapłani nie twojego kultu wychowali mnie. Ich świątynie są trzy razy wyższe od twoich, o Harmonio, i podobne do lasów... Są to fantazye barbarzyńców, ale mnie się podobają. Słuchając ich śpiewów, staję się prawie odszczepieńcem względem ciebie. Wybacz mi, bogini, tę śmieszność, wyobrazić sobie nie możesz, ile czarów ci barbarzyńcy włożyli w swe wiersze i następnie, gdybyś wiedziała, jak trudno jest obecnie ci służyć!... Panbeotia straszna, związek wszystkich głupstw, rozpościera nad światem ołowianą swą pokrywę... W ciągu tysiąca lat nazywano cię bałwanem, o Mą-

*) Przytaczamy ją w skróceniu.

drości; w ciągu lat tysiąca świat był pustynią, gdzie żaden kwiat nie wschodził... Kochać cię było przestępstwem i nawet dziś, gdy drogą pracy sumiennej udało się nam zbliżyć do siebie, obwiniają nas o zbrodnię względem ducha ludzkiego, za starganie kajdanów, bez których Platon się obchodził... A jednak świat będzie zbawiony, tylko wracając do ciebie i wyrzekając się związków z barbarzyństwem... Silny tobą oprę się fatalnym doradcom: sceptycyzmowi, który każe mi wątpić o ludzie, niepokojowi ducha, który każe mi zawsze szukać i badać nawet, gdy prawda jest znaleziona, fantazyi, która nie pozwala mi zasnąć, nawet gdy twój rozum postanowił... Wyrwę z serca wszelki nerw, który nie jest rozumem i sztuką czystą. Przestanę kochać me choroby i rozkoszować się mą gorączką. Poprzej mą silną chęć, o Zbawienna! Ile wszakże trudności przewiduję! Ile przywyknień będę musiał zmienić, ile czarujących wspomnień wyrwać z serca! Spróbuję, ale nie jestem pewny siebie. Poznałem cię późno, piękności doskonała, będę miewał nawroty, słabości... Literatura, którąby na wzór twojej, była zdrową ze wszystkich względów, wzbudzałaby teraz nudy. Uśmiechasz się z mej naiwności. Tak, nudę. Jesteśmy zepsuci, co robić! Powiem więcej, o bogini, otworzę przed tobą znieprawienie najgłębsze mego serca. Rozum i zdrowy rozsądek nie wystarczają. Jest poezya w Strymonii zamarzłym i w pijanym Trakijczyku. Świat jest większy niż ty sądziłaś. Gdybyś widziała śniegi podbiegunowe i tajemnice północnego nieba, twe czoło, o bogini zawsze spokojna, nie byłoby tak pogodne; twa głowa, rozszerzona, obejmowałaby więcej rodzajów piękna".

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

Od słuchaczów politechniki we Lwowie otrzymujące sprawozdanie z wiecu akad.

16 marca odbył się niezwykle liczny (420) wiec słuchaczy politechniki w obecności rektora Bisanza i dziekana wydziału chemicznego prof. Pawlewskiego, na którym poruszono wszystkie sprawy od dłuższego już czasu dolegające słuchaczom. I tak, najpierw podniesiono sprawę reskryptu namiestnika, w którym zarzuca młodzieży wyższych zakładów naukowych, że po komersach dopuszcza się rozmaitych wybryków, »włamuje się do cudzych mieszkań«, niszczy cudze mienie« i t. d. Rektor wywiesił na czarnej tablicy odpis reskryptu, poprzedzając go odezwą od siebie, gdzie mówi, że »te słowa prawdziwie ojcowskiego napomnienia, jakie J. E. pan namiestnik daje pp. słuchaczom szkoły politechnicznej, odniosą pożądany skutek i przemówią do ich serca i przekonania«. Wywołało to ogromne i zupełnie słuszne niezadowolenie i wzburzenie skierowano w pierwszej linii przeciw rektorowi, który, nietylko, że nie stanął w obronie własnych słuchaczy, ale niejako potwierdza zarzuty robione młodzieży przez namiestnika. Jednogłośnie też wiec uchwalił, że »protestuje przeciw potępianiu ogółu młodzieży za wybryki jednostek i że sąd honorowy i polubowny »Tow. Brat. pom.« wytoczy śledztwo

w celu wyświetlenia, czy wybryki, zarzucone przez p. namiestnika miały miejsce, a w razie wykrycia winowajców, ukarze takowych«.

Z kolei uchwalono studentom rosyjskim posłać wyrazy solidarności z powodu znanego strejku akademickiego na uniwersytetach rosyjskich.

Po załatwieniu spraw ogólnej natury, przystąpiono do rozmaitych »bolączek« technicznych. I tak podniesiono sprawę wydawania skryptów przez prof. geodezyi S. Widta. Profesor ten, niezadawalniając się dochodami, które mu przynosi katedra, wszelkimi sposobami stara się je powiększyć, nie patrząc czy godziwie, czy nie. Przed paru laty zaczął wydawać litografowane własne wykłady, po 10 ct. arkusz i od wszystkich prenumeratorów pobrał kaucyę 1 złr. Od tego czasu upłynęło 3 lata, a profesor ani nie skończył wydawać skryptów, ani, mimo napomnień, niechciał kaucyi zwracać. Zniecierpliwiło to wszystkich i postanowiono na wiecu publicznie tę sprawę poruszyć. Zrobiło to ogromne wrażenie na profesorze, który chcąc jakoś pretensye ułagodzić, oświadczył przez usta swego asystenta i tosamo w liście, wysłanym na ręce przewodniczącego wiecu, że nietylko kaucye zwraca, ale także każdemu, który się do niego zgłosi, odda pieniądze za wydane już, a niekompletne skrypta. Wiec przyjął to do wiadomości i, żeby rzecz taka została na zawsze w ludzkiej pamięci, uchwalił prosić kolegów, posiadających kaucye, aby je złożyli na rzecz Bratniej pomocy i zapisali się jako wieczysty członek pod nazwą: »Prenumeratorowie skryptów geodezyi prof. Widta«.

Po »Widtcie« poruszono drugą również ważną sprawę dla słuchaczy: »sposób traktowania ich przez rektorat«. Już od samego początku roku szkolnego rosło między nami głuche niezadowolenie z powodu postępowania rektora, w najwyższym stopniu nietaktownego. Koroną wszystkiego był ostatni »ukaz« w sprawie czesnego oraz przyjęcie dwóch słuchaczy, skazanych przez sąd honorowy na relegacyę z powodu kradzieży rysunków. Od szeregu lat utarło się na technice, że każdy starający się o uwolnienie od czesnego, nie mając przy wpisie kwalifikacyi, a nie mogąc płacić, szedł do rektora i prosił o prolongatę — w razie nieuwolnienia, płacił potem. W tym roku rektor zdobył się na energię i przy samym końcu zimowego półrocza ogłasza, że wpisy będą trwały tylko 4 dni i że każdy przy wpisie musi złożyć czesne, a potem w razie uwolnienia, pieniądze zostaną mu zwrócone. Mimo przedstawień i prośb nawet, żeby cofnął rozporządzenie, bo więcej niż połowa nie może się zapisać, albo będzie musiała u żydów na lichwiarski procent pożyczyć, rektor nie ustąpił. Taksamo uparł się i przyjął dwóch złodziei, potępionych przez sąd honorowy. Z goryczą podnoszono na wiecu, że etyka i moralność senatu a słuchaczy są zupełnie inne, słuchacze potępiają złodziei, nie chcą ich cierpieć między sobą, a kolegium je ochrania, podczas gdy za przekonania polityczne, zbyt postępowe zdaniem profesorów, releguje się zaraz. Obecny prof. Pawlewski zaprzeczył temu i wtenczas faktami i nazwiskami udowodniono mu, że tak się rzeczywiście dzieje. Wspomniano także o »nadzwyczajnej życzliwości« kolegium, ujawnionej w całej sprawie z salą klubową. Sala klubowa w budynku politechnicznym jest jedynem miejscem, gdzie słuchacze mogą przepędzić jedno lub dwugodzinne przerwy między wykładami, nie potrzebując tracić czasu na przechodzenie do domu, często w oddalonym punkcie miasta umieszczonym, lub udawać się do kawiarni, czy knajpy. W tym roku senat akademicki »ze względów naukowych« wezwał tow. Bratniej Pomocy (sala klubowa zostaje pod zarządem tow. »Brat. Pom.«) do oddania sali i usunięcia utensylij. Ze względu, że słuchacze nie wierzą w »naukowe względy« senatu, a natomiast wy-

czuwają doskonale istotną przyczynę: niechęć do »Bratniej pomocy«, jako do rozsadnika postępowych prądów wśród młodzieży, oraz mając na uwadze tradycyę »sali klubowej«, która była główną dźwignią obecnej instytucyi »Bratniej pomocy« — ogół akademików na poprzednich wiecach uchwalił nie poddać się wymaganiom senatu i w razie presyi wezwać wszystkich kolegów do strejku akademickiego.

Ponieważ jednak »obgadano salę« dostatecznie na poprzednim wiecu, teraz tylko mimochodem zaczepili o nią. I ponieważ zadużo już nagromadziło się bólu i zawiści, rzucono wszystko w oczy rektorowi i zażądano usprawiedliwienia się. Po oświadczeniu zaś rektorskiem, które nie zaspokoiło żądań słuchaczy, przystąpiono do następującej rezolucyi: »zastrzegając się stanowczo przeciwko zarzutom, robionym prof. Bisanzowi, jako profesorowi, wiec uchwala: żądać od rektora wykonania wyroku sądu honorowego, wyrazić ubolewanie świetnemu rektoratowi z powodu niewłaściwego postępowania i nieprzyjaznego obecnie stanowiska względem młodzieży i prosić równocześnie p. rektora, aby złożył swój urząd.« Nad wnioskiem cofnięcia uchwały strejku, powziętej na ostatnim wiecu, postanowiono przejść do porządku dziennego.

Mimo to jednak, że wiec był zupełnie legalnie zwołany, że porządek dzienny zatwierdził rektor, że się odbył za pozwoleniem i w obecności rektora, przeciw zwołującym, prezydyum i mowcom wytoczono śledztwo dyscyplinarne. Wyrok ogłoszono w piątek 24 maja. Jednego z kolegów, Siedleckiego, relegowano na jedno półrocze; dwom udzielono nagany rektorskiej z równoczesnem pozbawieniem stypendyum i uwolnienia od czesnego; dziewięciu nagany rektorskiej; czterem dziekańskiej. Wywołało to zupełnie słusznie ogromne rozgoryczenie i zaostrzyło jeszcze bardziej stosunki między słuchaczami a kolegium. Wszyscy skazani odwołali się do ministeryum i postanowiono bronić się do końca i nie cofnąć się w obronie praw swoich nawet przed ostatecznymi środkami.

Konkurs.

»Zjednoczenie młodzieży polskiej zagranicą« ogłasza koukurs na jeden z następujących tematów:

1. Stan obecny przemysłu drobnego w Królestwie Polskiem.
2. Położenie włościan i proletaryatu rolnego.
3. Rozwój przemysłu i handlu w Polsce przedrozbiorowej i wyjaśnienie na tej podstawie kształtowania się społeczeństwa polskiego.
4. Satyra polityczna i społeczna w Polsce XVIII. i XIX. wieku na tle walk klas i programatów.
5. Społeczne i polityczne błędy Mickiewicza i Słowackiego, oraz stosunek obu poetów do partyj, które działały w kraju i zagranicą.
6. Darwin i Lamark.
7. Wpływ filozofii Hegla na rozwój doktryny dialektycznej i materyayalistycznej.
8. Materyalizm ekonomiczny w dzisiejszej socyologii, jego zwolennicy i przeciwnicy.
9. Co już zrobiono i co pozostało zrobić dla stworzenia systemu socyologicznego, opartego na socyalizmie ekonomicznym.
10. Wzajemny stosunek Darwinizmu i ekonomicznego materyalizmu.
11. Studyum nad obecnym stanem socyalizmu w Polsce.
12. Ocena kierunków psychologicznych w socyologii.

13. Stan obecny i znaczenie badań nad społeczeństwem zwierzęcem dla socyologii.

14. Kwestya kobieca z punkta widzenia fizyologicznego, psychicznego i socyologicznego.

Nagroda za najtęższą pracę 200 Rs.

Termin — 1 październik 1901 r.

„Sarmatia“ koło akademickie polskie we Freibergu w Saksonii, komunikuje nam:

Dla wiadomości ogółu i osób pragnących przyjechać na studya do Freibergu w Saksonii komunikujemy, iż na zasadzie nowych statutów Akademii górniczej:

1. Został zniesiony egzamin ustępny (Aufnahmprüfung), a więc studentem Akademii może pozostać tylko posiadający świadectwo z ukończenia 8 klas filologicznych lub 7 realnych; od wolnego słuchacza wymagany jest census naukowy, dający prawo w Niemczech do jednorocznej służby wojskowej. 2. Cudzoziemcy oprócz zwykłych opłat za wykłady i laboratorya, płacą rocznie z góry 200 mrk. (dawniej 100 mrk.), czyli całkowity wpis wynosi średnio na wydziale górniczym 400—450 mrk., a na hutniczym 450—500 mrk. rocznie.

Oprócz tego dla cudzoziemców niema żadnych ograniczeń.

Odpowiedzi Redakcyi.

Józef Szuster w Antwerpii. Żądany adres: Kraków, ul. Retoryka nr. 1. II piętro.

W. Libkind w Zurichu. Wolelibyśmy rzetelną krytykę wspomnianej broszury, bo przyznacie, że szkoda tracić czasu na zwyczajne tłómaczenie. Jeżeli jednak chcecie poświęcić dla nas tyle energii — to z góry serdecznie dziękujemy i prosimy o przysłanie. Zastrzegamy sobie jednak prawo decyzyi.

Kazimierz Bucz... 1. Wywody kolegi zupełnie słuszne. Nie możemy jednak drukować. Za ostro sądzicie »Czas«. Wzmianka ta nie była zgoła »napaścią«. Zadzierka politycznej natury nazbyt widoczna. 2. Pan Stopka jak również p. Szukiewicz są akademikami, więc »Czas« i w stronie formalnej stoi na fałszywym gruncie. 3. Co do tytułu pisma »akademickiego«, cóż wam kolego odpowiedzieć? Macie racyę. Trudno każdemu człowiekowi osobno tłómaczyć, że tytuł pisma nie wyznacza z góry kategoryi współpracowników, bo w zasadzie każdy człowiek może pisać do każdego pisma — zaznacza pewien program i wytyka kategoryę grupy społecznej, dla której się pismo wydaje. Żądać od nas abyśmy umieszczali utwory li tylko tych, co nie siadali, broń Boże, do trzeciego rygorozum, jest to to samo, co wymagać od pisma sportowego, aby za współpracowników miało wyłącznie żokejów, konie i bohaterów gentelmańskich steeple-chasse'ów.

Nerwowym abonentom „Młodości“ donosimy, iż niesłusznie posądzają naszą Administracyę (w sposób niegrzeczny, bardziej niegrzeczny, lub najbardziej niegrzeczny) o niedbałość. Nr. VI wydawnictwa był bez wyjątku wszystkim wysłany. Na każdą reklamacyę wysyłamy jednak egzemplarze powtórne, spokojnie znosząc konfiskaty c. k. urzędów pocztowych.

Reklamacye pism wolne są od porta, gdy mają u góry napisany wyraz: Reklamacya.

Frątkowi z „Cięgów“. Racz pan przeczytać powtórnie naszą odpowiedź w numerze II. pod inicyałami Em. Er w. D.

M. B. we Lwowie. Fantazyi drukować nie będziemy. O artykuł prosimy.

Redaktor odpowiedzialny: STANISŁAW MEUS. — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

ADAM SIEDLECKI

NIEWOLNICY KRWI

opowieść sceniczna w trzech odsłonach.

(Dalszy ciąg odsłony drugiej).

Kolber. Pański rober panie doktorze.

Doktór. Już? To prędko. Znać mistrzów po pośpiechu. Idę. (Odchodzi).

Kolber. Partnerzy czekają.

(Marynia zostaje przy fortepianie. Sennie wpatruje się w nuty, na których oparła jedną rękę. Drugą wygrywa cichutkie akordy. Prawie że nie wie o obecności Kolbera. Kolber chwilę patrzy na nią; cicho, delikatnie przechodzi przez pokój. Znów kolejno rzuca wzrokiem to na nią, to na choinkę — widocznie zaambarasowany. Dopiero po chwili z decyzyą podchodzi do Maryni. Przystaje. Pauza).

Kolber. — — Maryniu...

(Marynia, jakby dopiero dźwiękiem jego głosu przyprowadzona do równowagi, spogląda nań, a następnie bez słowa wychodzi pospiesznie przez środkowe drzwi).

Kolber. (patrzy za nią). Taak? (podchodzi do fotelu, zapala papierosa. Po zmarszczonem czole, nasuniętych brwiach, łatwo odgadnąć jakąś dręczącą zadumę. Po chwili macha ręką). Pal dyabli! (mówi prawie niedosłyszalnie. Następnie znów refleksya. — Wstaje, chodzi; zrazu wolno, potem coraz prędzej, prędzej, tak, że nareszcie musi upaść na fotel ze zmęczenia, głowa opada mu w tył. Chwila pauzy. Zrywa się; w oczach błysk). Haah! (przeciąga się długo, jakby chciał pokonać jakieś osłabienie, czy omdlenie chwilowe). Haah! (Bezwiednie przerzuca kilka kartek albumu z fotografiami — zanurza się wzrokiem w jednej — następnie bezpośrednio wpatruje się usilnie w drzwi, któremi wyszła Marynia). Tygrysiczka!! — — To dopiero przygrywka. (mówi to naturalnie bezwiednie, głuchym zmatowanym półgłosem).

(Wchodzi Rozleniecki. Kolber wita go ironicznym uśmiechem. Chwilę patrzą na siebie).

Kolber. No i jakże ci się wint podoba. Przyjemniejszy od preferansa: więcej kombinacyj?

Rozleniecki. Kombinacyj ta i kombinacyj. — (Ogląda się) — ale co to ja chcę mówić? A prawda. Tak.

Kolber. O czem ześ chciał mówić.

Rozleniecki. — — Tego... Kolber, słuchaj. Ja tak sobie myślę. Mhm. Widzisz. — —

Kolber. No...

Rozleniecki. Ja się boję — co... tego, zkąd, nie wiem, powiadam ci, ale... Nie to, żebym się tak bał, ale... tego.

Kolber. Boisz się o rekuzę. Pewności nie mam żadnej — ale o ile mogę wnosić z jej półsłówek — z opinii o tobie — to nie odmówi.

Rozleniecki. Ta co tam odmówi! Niechby i odmówiła: Bóg z nią. Nie o to... Mnie, to czy tak, czy owak, zawsze, jak się nazywa — — wygrana. Nie przyjmie — no trudno: nie przyjęła. Szabasz. Przyjmie — ta i czego więcej? Ale ona (zamyśla się) — ale ona... Jej to się może stać... ta... może się stać

Kolber. — — krzywda.

Rozleniecki. — — — krzywda. Oo! o to się boję. Taki lęk! Tak jak by ktoś ciągle

do ucha mówił i mówił: Franciszku Rozleniecki cofnij się w tył.

(Dłuższa pauza. Kolber celowo milczy).

Rozleniecki. Panna piekna...

Cofać się już teraz: ani rusz! (spogląda na Kolbera: Kolber milczy). Tego... Kolber czy by to tych... nie można odłożyć... tych oświadczyn?

Kolber. W zasadzie: naturalnie...

Rozfeniecki (skwapliwie)... że można...

Kolber. Tak. Tylko jak widzisz... dziś o tyle masz dobry teren do działania, że Marta idzie do Klonowskich i zabiera ze sobą wszystkich, a Marynia zostaje. Należało by wyzyskać chwilę. (Przy środkowych drzwiach słychać głosy kobiece: zaraz wejdą) Marta z Marynią: masz ją.

(Wchodzi Kolberowa i Marynia).

Rozleniecki. Raz kozie śmierć: niechaj!

Kolberowa. Jestem gotowa do wymarszu. Panom daję jeszcze pół godziny urlopu — a potem proszę za mną do Klonowskich.

Kolber. Pójdę dopilnować moich winciarzów (Do Rozlenieckiego znacząco). Ciebie już więcej nie interesuje chyba wint?

Rozleniecki. (po chwilce wahania). Taki się jeszcze przypatrzę... (idzie do drzwi).

Kolber (szeptem). Miałeś sposobność i...

Rozleniecki. Ale widzisz... tego...

Kolber. No idź już... idź.

(Wychodzą. Marta zapina rękawiczki. Pauza).

Kolberowa (wskazuje ruchem głowy wślad za Rozlenieckim). Wiesz?

Marynia. Wiem. (Siada — smutnie patrząc przed siebie).

(Milczą. Kolberowa obserwuje Marynię. Po chwili wzrusza ramionami. Dość obojętnie lustruje toaletę, czy jest w porządku).

Kolberowa. Nie mogę nikogo zrozumieć z was. Mama po całych dniach o niczem nie mówi, tylko o Rozlenieckim — ty znowu...

Marynia. Cóż ja.

Kolberowa. Tyś dziwnie skrzywiona.

Marynia. Czego wy chcecie odemnie? Na wszystko zezwalam. Róbcie ze mną, co wam się podoba, tylko spokoju... spokoju choć odrobinę — spokoju!

Kolberowa. Do mnie chyba nie możesz odczuwać najmniejszej urazy. Wiesz doskonale, że zawsze stoję poza wszystkiemi familijnemi awanturami. Nic mnie to nie obchodzi.

Marynia. Aż zanadto nic. Na swoje nieszczęście trochę zanadto...

Kolberowa. Nieszczęście... Nie odczuwam żadnego nieszczęścia.

Marynia (dość bezwzględnie). Tem ci lepiej.

Kolberowa (odczuła niechętny ton. Chwilka pauzy). Rozdrażnionaś...

Marynia (jeszcze więcej tem poirytowana). Niech i tak będzie! (mały, złośliwy uśmieszek).

Kolberowa. Do wszystkich czujesz urazę. Wszystkich podejrzywasz o złą wolę, a to zwyczajna konieczność wypadków. Co do Józia, to istotnie z początku wywierał pewną presyę na Rozlenieckiego, ale potem pierwszy odradzał mu: sama słyszałam: przy mnie toczono rozmowę...

Marynia. Tak... Przy tobie, wierzę.. przy tobie... Przy tobie wiele...

Kolberowa, Co, wiele? — —

Czego wiele? Czego wiele??

Marynia. Nic... Zadziwiło mnie poprostu; nie wiedziałam o tym fakcie.

Kolberowa. I do tej pory nie wiem, co właściwie Józiowi zależało na tem — aby namawiać tamtego.

Marynia. Haha! (cichy śmiech).

Kolberowa. Czego się śmiejesz?

(Marynia trwa dalej w ironicznym uśmiechu).

Kolberowa. Nie mogę cię dzisiaj zrozumieć. Adieu. (Wraca z drogi). Maryniu!

(Marynia podnosi głowę — w oczach zapytanie).

Kolberowa. Ty taisz coś przedemną.

Marynia. Cierpisz chyba na manię prześladowczą. Ciągle mnie indagujesz. Jasne, że mnie głowa boli i nie zdaje sobie dobrze sprawy z użycia tych lub innych wyrazów.

Kolberowa. A dlaczegoś się śmiała — — —

Marynia. No Boże mój! Nerwy. Głowa mnie boli, powtarzam ci.

Kolberowa (ciągle pod wpływem niepokojącej irytacyi). Dlaczego się nie położysz? (Z naciskiem). Głowa cię musi boleć, skoro co chwila płaczesz i rozpaczasz.

Marynia (energicznie). Nie płakałam i nie rozpaczałam ani na jedną chwilę. Czyś widziała? Dlaczego mi to mówisz? Wiesz, że nigdy nie płaczę.

Kolberowa (dość nieżyczliwie). Nie chcesz wyjść za Rozlenieckiego, nie wychodź. Mieszkałaś u nas dotąd, możesz mieszkać i nadal. Nikomu nie przeszkadzasz.

Marynia. Masz racyę — nawet...

Kolberowa — — nawet...

Marynia. Nawet wam to musi sprawiać wiele przyjemności. Tobie i twemu mężowi.

Kolberowa. Nie masz chyba powodu sądzić, że nie...

Narynia (żywo). Mam powody nawet sądzić, że tak, że tak! Oo! za dużo powodów.

Kolberowa (bada ją wzrokiem — po chwili, siląc się jeszcze na spokój). Kabalistyczną dziś jesteś (ze świadomością tego, co mówi) — w dniu swoich zaręczyn...

Marynia (uderza na nią wzrokiem — chwila milczenia — hamuje oburzenie). Kabalistyczną? Może... ale za to ślepą ani na chwilę.

Kolberowa. Jeżeli... Co mi masz powiedzieć?!...

Marynia (sucho). Nic nie mam do powiedzenia.

Kolberowa. O nie! Teraz już doskonale czuję, że taisz coś przedemną. — — Co mi masz powiedzieć? (pauza) Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć? Dlaczego? — —
Ja cię proszę, powiedz mi! (rozdenerwowanie dławi jej głos).

Marynia. Mówiłam ci, że...

Kolberowa. Dlaczego ty mnie dręczysz bez powodu — co? Nie powiesz mi? — (traci panowanie nad wolą). Jam ci niewinna, że wychodzisz za Rozlenieckiego, a nie za swojego ukochanego Skierskiego!

Marynia (natarczywie). Marto! Prosiłam, abyśmy tego tematu nie dotykali! Prosiłam czy nie? —

Kolberowa (z cichą nienawiścią). Nie masz czego żałować: jak na pannę dosyć...

Marynia (cała w ogniu rozdrażnienia). Przestań!!...

Kolberowa. Zresztą możesz odmówić swojemu Rozlenieckiemu. Nie wychodź za niego: nic cię nie zniewala.

Marynia. Tak ci się zdaję? (patrzy na nią ironicznie). Idź Marteczko do Klonowskich — idź i baw się — tyle twego, co w zabawie — a mąż...

Kolberowa. Co mąż?

Marynia. Baw się dziecino — — baw się (chce odejść).

Kolberowa (zastępuje jej drogę). Co mąż?... Aha!... Więc to... aha!! — — Więc co mój mąż? Mój mąż cię zniewala? Tak? No tak, czy nie? — — No powiedz? Nie chcesz. Mnie się zdaje, że to zupełnie co innego...

Marynia (wraca od drzwi, do których zdążyła dojść — mierzy wzrokiem siostrę). Co?

Kolberowa. To nie żadna intryga cię pędzi za mąż... ale... Ty wiesz dobrze.

Marynia (ze złowrogiem spokojem). Co?

Kolberowa — — Bywa i tak! Pan Skierski... Kto to wie...

Marynia (rozbolała, rozszalała). No to dowiedz że się, że uciekam z twojego domu, przed miłością twojego męża. Wstrętem mnie ogarnia...

Kolberowa (w osłupieniu patrzy na nią przez chwilę, szeptem prawie). Ty go kokietujesz!

Marynia (boleśnie). Marto!

Kolberowa (po chwili namysłu podchodzi do drzwi: A, uchyla). Żegnam was panowie. Adieu. (Zamyka drzwi — w tej samej chwili we drzwiach ukazują się: Nitowicz, Kostecki, Kolber, Adaś, Rozleniecki zostaje we drzwiach). Nie zrywajcie się panowie, wszak za chwilę przyjdziecie do Klonowskich.

Kostecki (żegnając się). Odprowadzić chcieliśmy panią.

Kolberowa. Dzięki serdeczne... Przecież to pięć minut drogi...

Kostecki. W każdym razie.

Kolber. Mój rober teraz luźny, a więc panowie grajcie — a ja odprowadzę żonę, jak na wzorowego męża przystało.

Kolborowa (żywo i despotycznie). Dziękuję ci: wolę żeby mnie pan Nitowicz odprowadził. Panie Nitowicz pan będzie łaskaw — prawda?

Nitowicz. Owszem.

Kolber. Zastąpię pana przy wincie — wypłacimy się importem za eksport. — — (do żony cicho ale dobitnie). Możebyś na przyszłość mniej ostentacyjnie załatwiała się, ze swemi sympatyami?

Kolberowa. Nie chcę cię ogałacać z pomysłów i z umiejętności cichych romansów.

Kolber. Cóż to ma znaczyć?

Kolberowa. Nie potrzebuję ci tłomaczyć — (odchodzi). Panie Nitowicz chodźmy. Do widzenia panowie.

(Głosy: Do widzenia. Za chwilę. Do widzenia).

Kolber — — Marynia.

Kolberowa (przechodzi koło siostry). Bądź zdrowa...

Marynia (wyłącznie do niej) Ja ci tego do końca życia nie zapomnę — siostro!

Kolber. No, a my (pokazując ręką na drzwi A). Proszę... (do żony na dystans całej sceny). Powiedz Marto Klonowskim, że za pół godziny jesteśmy u nich (jeszcze raz spotykają się przeciągłem wejrzeniem). A ty Franek z podziału pracy musisz bawić pannę. (Adaś z Kosteckim już wyszli).

Doktór. Skierski przyjdzie do Klonowskich?

Kolber (niedbale). Nie wiem. Służę doktorze. (Doktór wychodzi. Kolber wraca ode drzwi. Do Rozlenieckiego). Możesz się jeszcze cofnąć. (Wychodzi w ślad za doktorem. Na scenie kłopotliwe milczenie).

Marynia. O ile mi się zdaje — pan chce mi się oświadczyć?

Rozleniecki. Aa... A... tak! Ale... A zkądże pani. Tak... któż pani? A tak! a tak!

(Zdziwiony patrzy na nią).

Marynia. No więc — proszę.

(Rozleniecki coraz więcej zdziwiony).

Rozleniecki. — — — Tego.

Marynia. Proszę, niech pan siada.

(siadając vis-a-vis koło stolika).

Więc ja miałam szczęście podobać się panu.

Rozleniecki. Wie pani co. Ja to pani powiem wprost. Z początku to ja się nie chciał żenić zupełnie.. Ani myślał... Ale teraz... Ja tu przed chwilą mówił- że z tym... z Kolberem: Słuchaj Kolber, jej to się może

stać krzywda. — A on powiada: jak chcesz; a ja mu na to powiadam: krzywda się może stać. Prosto bałem się. A teraz, zobaczyłem panią — jak ręką odjął. Bo ja wiem! Jak by mi się teraz kto spytał: Rozleniecki jej się stanie krzywda — ożenisz się — co? Zabij, nie wiem co bym odpowiedział. Możebym i powiedział: niechaj — niech i z krzywdą, ale ja już bez niej nie mogę — nie mogę!

Marynia (z uczuciem niesmaku). Przystąpmy do rzeczy... Otóż nie wiem, czy panu wiadomo, że ja nie mam absolutnie posagu.

Rozleniecki. Ehe! pani tylko tak mówi.

Marynia. Ale upewniam pana.

Rozleniecki. Nie panno Maryo, (całuje jej ręce) już ja się na to złapię — nie moja droga panno Maryo! (chce zatrzymać jej ręce w swoich — ona delikatnie wysuwa).

Marynia. Panie Rozleniecki, zupełnie seryo mówię.

Rozleniecki. Panno Maryo... ja tego nie umiem powiedzieć, nie umiem się wyjęzyczyć dla czego, ale czuję, że to ładnie, że to jest pieknie ze strony pani, ja to tak czuję i mnie cieszy, tak mnie okropnie cieszy — to jest takie święte kłamstwo (uradowany z definicyi) oo! święte kłamstwo!

Marynia. To nie jest nawet zwyczajne kłamstwo — to najszczersza prawda.

Rozleniecki. No co tu w ciuciubabkę się bawić, proszę pani. Przecie mnie Kolber uprzedził, że pani będzie tak naumyślnie mówić.

Marynia. Szwagier panu mówił, że ja mam posag? No to proszę pana, na prochy nieboszczyka ojca przysięgam, że nie mam ani grosza.

Rozleniecki. — — — na prochy... To święte! (dłuższa pauza. Naraz uświadamia sobie sytuacyę). Wie pani co? Ten Kolber to jest numer! (podchodzi do drzwi A). To jest numer! (grozi w tamtą stronę).

(Pauza).

Marynia (tryumfująco). A więc prawda, że sytuacya się zmieniła — proszę pana?

Rozleniecki. A! panno Maryo, panno Maryo! To pani mnie ma za takiego. To pani myśli, że ja... A panno Maryo! Nie, proszę pani — jeżeli ja chce się z panią żenić, to nie dla tych głupich pieniędzy... Nie mówię, żeby pieniądze nie miały znaczenia. Mają... tego... ale żeby od człowieka więcej — e, to znowu... A przecie ja bym dla pani... Przecie ja panią kocham — przecie pani — — ta w jednej koszuli a wezmę panią. Ta...

Murynis (przerywa). To jeszcze nie wszystko...

Rozleniecki. To jest niby... co nie wszystko?

Marynia (nie patrząc nań, wolno). Że mnie pan kocha — wierzę, że wreszcie wyjdę może za pana — w to także wierzę, ale... — — — ja kocham innego panie Rozleniecki.

Rozleniecki. Innego? — — Niby nie mnie? (wpatruje się w nią z otwartemi oczami, po chwili). Oj! to feler!

(Pauza. Rozleniecki odchodzi kilka kroków, potem wraca. Marynia wciąż nieruchoma).

Rozleniecki. No tak... ale to — — tego... Ale to już przeszło.

Marynia — — Nie, to trwa ciągle.

(Pauza — dość długa pauza).

Rozleniecki (delikatnie). Pani go bardzo kocha, panno Maryo? (Marynia potwierdza zapytanie ruchem głowy). Młody?

Marynia. Tak jest.

Rozleniecki (więcej do siebie). Ten Kolber to jest... (pauza) Któż to taki proszę pani?

Marynia. Mój Boże, co panu na tej wiadomości zależy — powiem zresztą: student uniwersytetu...

Rozleniecki (uradowany). Eh! student! No, to nie była miłość — to zabawka.

Marynia (na pół boleśnie, na pół ze smutkiem) Tak! to była zabawka (przechodzi).

Rozleniecki. Niech mi pani wierzy... pani... tego... zapomni.

(Marynia milczy).

Rozleniecki (błagalnie). Ja będę taki dobry dla pani... taki... Ta mnie by się taka krzywda stała... taka krzywda... Tać... Panno Maryo! Przecie każdy z nas... przecie każda panna za... tego... zakochuje się w studentach.... ale to przecie nie to... co — Ta przecie student to nie miłość...

Marynia (urażona). Być może... Mimo to nie wyjdę za pana, dopóki on się na to nie zgodzi.

Rozleniecki. — — Dopóki on się nie nie zgodzi? Ten student? Ta pani żartuje, panno Maryo.

Marynia. Nie — nie mam nawet ochoty żartować.

Rozleniecki (sztywnieje). Panno Maryo — ja nie mogę się zgodzić.

Marynia. Proszę się cofnąć — jeszcze czas — — (pauza). — Całą dzisiejszą rozmowę naszą będę uważała za niebyłą.

Rozleniecki (ambitnie). Ja nie chetkapętelka, żebym od jakiegoś... zależał.

Marynia (sucho, wyniośle). Panie Rozleniecki...

Rozleniecki (podbiega do niej — całuje jej ręce). Ta moja pani... niechże bo pani sama — — tego — — pomyśli, czy to dla mnie, jak się nazywa przyjemne, abym zależał od kogokolwiek. No niechże pani sama powie.

Marynia. Nieprzyjemne.

Rozleniecki. No widzi pani. Ale niechby — — Bo gdyby to co innego — to niechaj — ale pani przecież rozumie, pani to doskonale czuje — niech tylko pani sobie tak dobrze przedstawi — że przecie, im więcej pani go kocha, tem to mnie więcej ubliża — więcej gryzie, że jedno jego słowo.

Marynia. Zupełnie słusznie...

Rozleniecki. Więc... pani tego... pani cofa swój — — ten — — warunek.

Marynia. Nie.

Rozleniecki (ogromnie pokornie). Panno Maryo — — ta ja na rękach będę panią nosił, ta ja... Pani nawet nie wie — — Ja sam nie wiem, co by to ze mną było... Jać teraz o niczem nie myślę, tylko o tem... To już tak idzie ze mną i idzie — — ta myśl. Taka by przecie krzywda była — taka... Panno Maryo... Tać w ostatnich czasach to ja tylko o pani ciągle myślał... o niczem, tylko o pani... Nie wiem, nic nie wiem co by ze mną było... Od dziecka zakopał się na wsi, zapracował, zaorał w tę ziemię — o Bożym świecie ani dudu... (coraz rozpaczniej). Ta mnie by się przecie taka krzywda! — — — (łapie się za głowę).

Marynia. Wszakże ja panu nie odmawiam swej ręki. — —

Rozleniecki. Ale pani za to — — — (pauza). Czy on panią kocha?

Marynia (żywo). Zmieńmy temat...

Rozleniecki. Bo jeżeli on panią kocha — —

Marynia (przerywa). Panie Rozleniecki...

Rozleniecki. Tak. — — Więc pani nie cofnie.

Marynia. Nie.

Rozleniecki. Pani mi to umyślnie robi... Ale pani, panno Maryo jeszcze młoda — — i znać, że pani, jak się nazywa, — nie kochała, bo by pani nikomu takiego... takiej... Tak jak by mi pani nóż w piersi... (z pro-

śbą). Panno Maryo! — — — — (pauza — oczekiwanie — patrzy na nią — zaczyna tracić upór). Ano, zresztą — — (przytomnieje, z energią i dumą). Nie!! taki się nie mogę poddać! (pauza — milczenie — po chwili znowu cicho, nieśmiało). Panno Maryniu.

M a r y n i u (także cicho). Nie.

(Z za sceny ze drzwi A, słychać głos przybliżającego się Kolbera).

R o z l e n i e c k i (crescendo błagania — w nerwowym pośpiechu). Jak pies będę pokorny!

M a r y n i a (nerwowo — ze wstrętem). Nie, nie, nie! (ucieka w stronę drzwi B.).

R o z l e n i e c k i (wślad). Pani to i litości nie ma dla człowieka! — — —

(Wchodzi Kolber).

K o l b e r (wchodząc — mówi do pozostałych za sceną). Rachujcie, wrócę za chwilę.





FILOZOFIA ANHELLEGO.

(Uwag kilka wypowiedzianych jako odczyt).

»Duch mój jest otchłanią tęsknot i musi strzec się własną mocą«, tak określa Słowacki zasadniczą melodyę swojej istoty.

Po przez wszystkie przeobrażenia bogatej i płomiennej swej natury, na wszystkich stopniach niedługiej wędrówki po świecie życia i poezyi był Słowacki poetą duszy, a świat zewnętrzny służył mu zaledwie za szkielet, dokoła którego oplatał wrażenia subjektywne, ubierając go w czary lotnej swej fantazyi. Dusza własna i dusza świata, czy człowieka w różnorodnych swych przejawach, oto temat który zajmuje go tak bardzo, że aby go uwydatnić, nie waha się nawet zapożyczać u innych poetów, pewny samodzielności swojej i silny całkiem odrębnem ujmowaniem każdej treści.

Dusza poety rwąca się do piękna, do miłości i prawdy, cierpiąc i tęskniąc, nieustannie przetwarzać się musiała.

Tęsknota, przemiany, to niemal treść zasadnicza ducha poety, który

w drugiej połowie życia swego niepodobny jest prawie do fantastycznego i lekko biorącego świat Juliusza z lat młodzieńczych.

Gdy w 1838 r., robiąc aluzyę do swej poetyckiej nienasyconej ambicyi pisze do matki o »głodnym wężu, który go gryzie«, jest równie szczerym, jak w sześć lat później, gdy kreśli stałe swe usposobienie, a nie chwilowy nastrój. »Teraz ja człowiek dojrzały, już mię łatwy i mały poklask nic złowi; a choćby też i sklepienia drżały od krzyków, to mię nie zatrwożą«....

Duch Słowackiego okrzepł, a dążności się skrystalizowały, tak, że ta pozorna obojętność nie wyklucza przeświadczenia siły i uzasadnionej umy:

»Bóg mnie otoczył«, pisze w tym samym czasie, »jaśniejszymi księżycami, a dawne morza i gwiazdy palcem ukazuje w ciemności, abym je zdobył, abym do nich doleciał wiarą i miłością«. Wśród tych przeobrażeń wewnętrznego ja, którym podlega każda hojnie uposażona indywidualność, temperament poetycki Słowackiego był, jak się wyraża jeden z krytyków (Cezary Jellenta), jak ogień wiecznie płonący, nieuchwytny, zmienny w barwach i kształcie, jakkolwiek zawsze świeci i grzeje. Dosadnie charakteryzuje się sam Słowacki: »Natura moja jest pełna błyskawic, najwięcej dni ciemnych, lecz czasem wplatają się dni ogniste różnego koloru, które mi potem świecą w pamięci«.

Te dni ogniste, to dni twórczości. Pozostawiły nam one nieśmiertelne dzieła poety, stworzyły postaci, których imiona same budzą w nas tysiące wspomnień. Szukamy w nich cząstki duszy poety, i słusznie, gdyż u Słowackiego silniej, niż u innych wieszczów naszych subjektywizm oddziaływał na twórczość. Tworząc, odtwarza siebie, lub ideał jaki sobie postawił, wypowiada się cały, promieniując na zewnątrz skarby swej olbrzymiej wyobraźni, zasoby swego uczucia, ogromnej wiedzy i bogatego, a giętkiego umysłu.

Do dzieł i postaci takich należy Anhelli.

Czytając Anhellego nasuwa się mimowoli odwieczne zagadnienie stosunku poety do świata. Czy Słowacki w przepięknym swym poemacie chciał dać obraz martyrologii narodu, odtworzyć ziemię łez naszych i cierpień? Czy w postaciach Anhellego, Szamana, Eloi rozumiał istotnie typy lub osobistości? A może zewnętrzna scenerya służyła mu tylko za tło do wywołania nastroju u czytelnika, może działające postaci uważał za symbole, przy pomocy których łatwiej mu było wypowiedzieć swe patryotyczno-społeczne wyznanie wiary? Pytania te tembardziej nasunąć się muszą, że Słowacki, jakkolwiek z usposobienia romantyk i mistyk, miał prawdziwie artystyczne poczucie warunków zewnętrznego świata, że był subtelnym znawcą dusz, który każdej ze swych utkanych ze mgły i brzasku postaci dawał plastyczny podkład właściwej psychologii, a przecież pozostawał zawsze subjektywistą. Anhelli to poemat programowy nietylko dla poety, ale i dla społeczeństwa, zgniecionego przemocą, obalonego fizycznie, którego duch przecież żył, szu-

kał wiary i oparcia na przyszłość. Stwarzając taki pozytywny ideał poeta nietylko wypowiadał własną filozofię, nietylko stwarzał sobie historyczno-etyczny ideał, lecz zarazem grać umiał na najczulszych strunach narodowej duszy, która inaczej nie byłaby mu odpowiedziała sympatycznym oddźwiękiem. Że mu się to udało, świadczy ogromna Anhellego popularność, pomimo wielu niejasności, przeciwieństw nawet pozornych, mimo zagadek, których komentarze nigdy nie rozwiążą, bo poeta poniósł odpowiedź na nie do grobu... Anhelli jest znanym i czytanym. Surowe a przejrzyste dźwięki biblijnej jego prozy upajały młodzież o poetycznym kierunku umysłu, obrazy wyciskały łzy z oczu tych, co już za ojczyznę cierpieli, czyste „anielstwo« jakiem cały poemat oddycha, budzić musiało oddźwięk u każdego. Nastrój bolesny, a głęboki, o który bez wątpienia chodziło poecie, wywołuje Anhelli u każdego polaka, a temsamem wytwarza się podkład religijnego niemal skupienia, z jakiem utwór do ręki bierzemy.

Wywołanie nastroju, jako zasada poetycznego kanonu, to zdobycz czasów nowych; prawdziwe dzieło sztuki dziś i zawsze budziło go, niezależnie od teoryi. Że Słowacki uświadamiał to sobie w dzisiejszem znaczeniu, świadczy uwaga wypowiedziana w jednym z listów. »Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność«. Trudno o lepszy komentarz do dziwnej harmonii, w jaką zlewają się w Anhellim obrazy północnej przyrody, mistyczno-romantyczne przygody działających postaci, oraz ich treść wewnętrzna.

To nam również tłomaczy, dlaczego za tło wybraną została syberyjska Gehenna. Chodziło bowiem o ideologię narodu, który w czasie powstania Anhellego (prawdopodobnie w 1838 r.*) leżał już skuty w kajdany, którego najlepsi przedstawiciele ciągnęli taczki w kopalniach Sybiru, a tłumy powstańców nie chcąc ukorzyć się przed wrogiem szły na wygnanie.

W grupie wygnańców, z pośród których wybrany został Anhelli, uosobić chciał Słowacki współczesną mu emigracyę. Piętnuje jej małoduszność, bezczynność, swary i nieumiejętne zachowanie się na obczyźnie, ale nie pomija wielkiej niedoli ducha i ciała, która musiała z czasem ich spodlić.

»Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych«, powiada Szaman, spotkawszy gromadę wygnańców. Szaman, przewodnik Anhellego niejako Wergili oprowadzający Danta po piekle, rozumie, że indywidualność ludzka, zwłaszcza ludzi przeciętnych, ludzi w grupie rozwijać się może tylko we właściwych dla niej ramach. »Ażaliż

---

*) Pierwotny plan Anhellego, który nosić miał tytuł „Posielenje", odnalazł się w dzienniku pisanym podczas podróży na Wschód w 1837 r. Poemat w tej formie w jakiej ogłoszonym został i doszedł do nas, pochodzi, jak się zdaje, z sierpnia 1838 r. (Patrz Dzieła. Wyd. H. Biegeleisena, T. II, str. 117 i n.).

każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe?« To też z góry przeznaczeni są na zatracenie jak owi biblijni wędrowcy nigdy nie wejdą do ziemi obiecanej. Wskrzesić ich byłoby cudem »albowiem są ludem starym«. Lud zdolny do życia »prosty i nie skrzywiony na ciele«, musi zatem wyrosnąć z nowego pokolenia. Kłótnie wygnańców, podział na stronnictwa — wszystko jak na emigracyi. Posieleńcy sybirscy dochodzą nawet do krwawych zbrodni, a gdy odwieczne cherubiny pytają: ludzie, co czynicie? brzmi ponure usprawiedliwienie:

»Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a Bogiem, który go przyjmie jest głód«....

»Cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszemi i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności. Brak ojczyzny odjął im wszelką materyalną i moralną podporę.

Poeta wyrozumiałym jest na te występki, pojmuje on człowieka, jego słabość i przyczyny upadku.

Gdy w kopalniach Sybiru, wśród setek nieszczęśliwych skazańców, pozbawionych słońca, Szaman spotyka samobójcę, który się zatruł ołowiem, rozgrzesza go, mówiąc:

»Ten ołów zabójcą jest i doradzcą złym, bo mówił weź mnie i zjedz, jam jest końcem i spokojnością«. Przeklina tych, co łamią się przed najmniejszym wichrem. «Lecz przed wichry silnemi i wam padać wolno... będziecie żałowani«. Wolnomyślny poeta robi nawet uwagę, że »kto wie jaki jest sen w niepoświęconej mogile«.

O odtworzenie życia wygnańców na Syberyi nie chodziło Słowackiemu, rzuca on szereg obrazów o wielkiej grozie, ponurych, a przecież poetycznych, wystarcza to, aby nam uprzytomnić cierpienie tych ludzi, usprawiedliwić ich dusze.

Nie szukajmy też realnych warunków syberyjskiej przyrody. Przeciwnie, jak cudnie powiedział Krasiński: »Trzeba potęgi uroczej, genialnej, nadzwyczajnej, by Sybiru otchłań tak wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd. Gdym czytał, wzdychałem — tęskno mi było, żal się na mnie Boże, do Sybiru! Przez kilka nocy Sybir śnił mi się, jakby Eden melancholijny .. piekło Sybiru, nie przestając być piekłem, przybrało w Anhellim taką ułudę dziwną, prześliczną i straszną, okropną i ponętną zarazem«... [1]).

Usunąć z tego piekła cuda jednolitego a przecież zmiennego krajobrazu, dodać szczegóły realne, to znaczy nużącą i brzydką codzienność, a znikłoby odpowiednie tło dla Anhellego, który jest samą harmonią i poezyą.

Postaci Szamana i Anhellego, to symbole, a nie charaktery, ani typy. Szaman uosabia czynny rozum i uczucie. Pragnie być przywódzcą garstki wygnańców, gotów nawet lud swój dla nich opuścić, dopóki się nie przeko-

---

[1]) Dod. mies. do »Czasu« 1859 r. marzec. Cyt. u Biegeleisena s. 129.

nał, że to ludzie słabi, niezdolni do życia, przeznaczeni na zgubę. Gdziekolwiek się zbliży, wszędzie niesie pociechę, pomoc, radę. On dzieciątka wyzwala z przemocy przewrotnego popa, który zatruwał im serca, on odwala kamień, który w kopalniach zasypał rodzinę złożoną z ojca i czterech synów. (Charakterystycznem jest przytem, że żałuje czynu swego, przekonawszy się, że synowie pomarli — chce więc czynić cudy nie dla dopomożenia jednostce, ale dla przyszłości uosobionej w młodszem pokoleniu). Na cmentarzu grzebie umarłych, z krzyżów zdejmuje niewinnie ukrzyżowanych, jest duchem czynnym, który zjawia się, gdziekolwiek ludzie płaczą, potrzebują pomocy, chwieją się w wierze. Przytem to nie siła bezosobowa, lecz człowiek, który ulega uczuciu, waha się, cierpi, nie zawsze zadowolony jest z czynów swoich. Nie sądzę, aby Słowacki chciał w nim przedstawić nadludzką jakąś potęgę, zowie go wprawdzie człowiekiem bożym, ale czyni tylko myślicielem i działaczem.

Świetlana postać Anhellego, czysta jak śniegi Sybiru i jak one chłodna dla wszystkiego, co ziemskie, zdaje się być zupełnie oderwaną od ziemi. Cała jego dusza skoncentrowała się w jednem uczuciu — miłości ojczyzny — tak że tylko ojczyzna, jej wspomnienia i cierpienia wzruszyć go potrafią. Anhelli to człowiek przeznaczenia, pomazaniec boży, nietylko wybrany przez Szamana przewodnik i następca, on jest gienjuszem uczucia, cierpienia, ofiary. Niezdolny do czynu, jest przecież sam w sobie największym czynem spętanego narodu, jest jego poezyą.

Krytycy [1]) twierdzą, że Słowacki samego siebie przedstawił w Anhellim.

Istotnie, kto wie, czy mimowolnie nie utożsamiał się z tą wypieszczoną przez siebie postacią. Wskazywać się na to zdają słowa i wspomnienia Anhellego w rozd. XI:

»A niema jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał«.

Poeta stroi swą postać w dramatyczne barwy, Anhelli przed śmiercią skarży się, że jego życie

»zaczęło się od przerażenia«

że jest pogrobowcem, którego ojciec umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany, a matka z boleści po nim.

»Pierwsza lilia na grobie ojca mego jest moją rówienniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą«.

Trudno o wyrazy bardziej smętne i poetyczne dla odmalowania samotności, która od kolebki towarzyszy Anhellemu. Samotność, smutek i bezbrzeżna tęsknota za tem, co każdemu człowiekowi zdobi życie, a potem za utraconą ojczyzną, a więc utraconym ideałem, przyszłością, nadzieją, wiarą nie odstępują go na chwilę. Słusznie powiada o Anhellim sam Słowacki

---

[1]) Np. Zdziechowski, Jellenta.

w listach, że »Chrystusową ma twarz«. Myśl o śmierci ciągle w nim jest obecną. Już na cmentarzu tłomaczy duchowi biskupa:

»Oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie«. Od śmierci Ełłenai czeka zgonu, czuje jak się zbliża, nie broni się, owszem pragnie końca. Na chwilę opanowało go zwątpienie, lecz korzy się na pierwszy wyrzut aniołów.

»Więc będę cierpiał, jak dawniej: Oto język mój codzienny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami.... do kogoż mówić będę?...«

Cierpienia osobiste i okropności ziemi są dlań niczem:

»Zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest«,

a pomimo to Anhelli wierny jest swej misyi na ziemi, tak jak Słowacki, który pisze o sobie: »Serce moje ma coś w sobie wiecznotrwałego, nigdy nie zapomina, ani się nie zmienia«.

Zaiste jeżeli poeta duszę własną wlać chciał w Anhellego, to cudnie piękną, a niewysłowienie smutną, była ta dusza, wyzwolona od drobiazgów codziennych — głęboka i wzniosła dusza, która nie inaczej wygląda ku nam z listów poety tej i późniejszej doby.

* * *

Artyzm poety scharakteryzować może tylko poeta, chociaż i my odczuć go potrafimy. Nie śmiem też dotykać artystycznej strony poematu, brzmiącego jak muzyka, a roztaczającego cudowne obrazy tak wyraźne, jak gdyby je nie piórem, lecz pędzlem malował. Znamy go wszyscy. Pragnę raczej zwrócić uwagę, że w Anhellim odnaleść można pełne akordy, złożone z zasadniczych tonów umysłowości poety. Było to prawdopodobnie świadomym zamiarem Słowackiego, aby w Anhellim wypowiedzieć swe filozoficzno-społeczne i narodowe credo, jakkolwiek w listach, które tak wszechstronnie odsłaniają nam indywidualność poety, nie znajdujemy wyraźnych na to wskazówek. Pisząc do matki, zamieszkałej w kraju, unikał Słowacki spraw drażliwych, któreby ją kompromitować mogły. Listy wydają mi się przytem spowiedzią codziennego człowieka (nie mówię powszedniego, lecz człowieka jakim był Słowacki dla najbliższego otoczenia, na codzień). Stosunek swój do świata, społeczeństwa, narodu i współczesnych mu genjuszów, wypowiada zaś w swych utworach.

Mickiewiczowski Konrad pobudził Słowackiego do stworzenia postaci narodowego ofiarnika. Jest nim Kordyan, który jako pierwszy akt trylogii, był uosobieniem narodu walczącego. W Anhellim daje poeta akt ostatni, stosunek wybranej jednostki do narodu w okowach, a jednocześnie najwyższą tego narodu wiarę w odkupienie przez ból i czystość duszy. W obec Mickiewicza zatem, w obec emigracyi polskiej, a wreszcie w obec samego siebie i przeszłości swojej, Słowacki wypowiedzieć był powinien poglądy wła-

sne na przyszłość narodowej sprawy. Anhelli nie był dziełem jak inne, pisanym w chwili jednorazowego poetyckiego natchnienia. Wiemy, że poeta kilkakrotnie doń powracał, może nawet obmyślał go lat kilka (rozpocząwszy jeszcze w Genewie w 1835 r., a kończąc we Florencyi po powrocie z podróży na Wschód w 1838 r.), tak, że pierwotny koncept pisany tercynami, zbliżony do dzieła Danta, z wypracowanym starannie planem, zupełnej uległ przeróbce. Nie chodziło tedy Słowackiemu o dzieło poetyckie jedynie, lecz raczej o możność odsłonięcia umysłowej swej istoty. Słowacki w Anhellim to nietylko artysta lecz i filozof, a przedewszystkiem narodowy myśliciel.

Jako taki, wierzył Słowacki w odrodzenie Polski:

»O tak“, powiada, „nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła;
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę,... jeżeli żywa to poleci.

Tak, on chciał Polski żywej, Polski, w której drgałyby, myślały i czuły wszystkie członki narodowego organizmu, gorzkie wyrzuty czynił tym, co tłumili przejawy ludowego ruchu, mając nadzieję ojczyznę z jego pomocą odbudować.

. ..Ojczyznę mą w łańcuchu
Widząc, miałem tę pokorę,
Żem żadnego nie klął ruchu....
Czuł gorących, bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe....

powiada do autora trzech psalmów, bo jemu chodzi nie o granice historyczne, lecz o ducha ludu, którego »z niewolnika swą mocą i pieśnią przedzierzga w człowieka«, o lud, który wie

„że ten za tyrana,
Kto go na duchu zabija — wytraca,
A nie ten, który mieczem głowy zbiera,
A duchom żywot i słońce otwiera«.

Że narodowe dążności Słowackiego nie były wyrazem przekonań ogółu, o tem wiedział poeta, a gdyby dziś zmartwychwstał z równą prawie słusznością mógłby zapytać:

»Kiedyż Polska to usłyszy, co ja słyszę?...
Boleścią moją powietrze zaklęte

MŁODOŚĆ str. 230.

Stało się mocą, bronią — pełne ducha,
I czasem do was gra, jak harfy święte,
A czasem waszej odpowiedzi słucha...

Czy Anhelli nie jest wezwaniem do takiej odpowiedzi?

* * *

Trzy główne motywy poezyi Słowackiego: miłość ojczyzny, miłość kobiety i cześć dla piękna, znalazły w Anhellim charakterystyczny dla poety wyraz.

Zacznijmy od ostatniego: Wśród różnych teoryj, któremi artyści dzisiejsi usprawiedliwić się starają hasło »sztuka dla sztuki«, pozostaje zawsze to samo kryteryum piękna. Czy piękno to będzie siłą, czy harmonią, czy pojmiemy je jako najdoskonalszą zgodę formy z treścią, czy jako przejaw indywidualnej, płomiennej lub ponurej duszy, coraz więcej wnika w krew naszą i mózg przekonanie, że miarę piękna do wszystkich przejawów życia stosować można. Słowacki, uprzedzając przyszłość, kilkakrotnie to zaznacza:

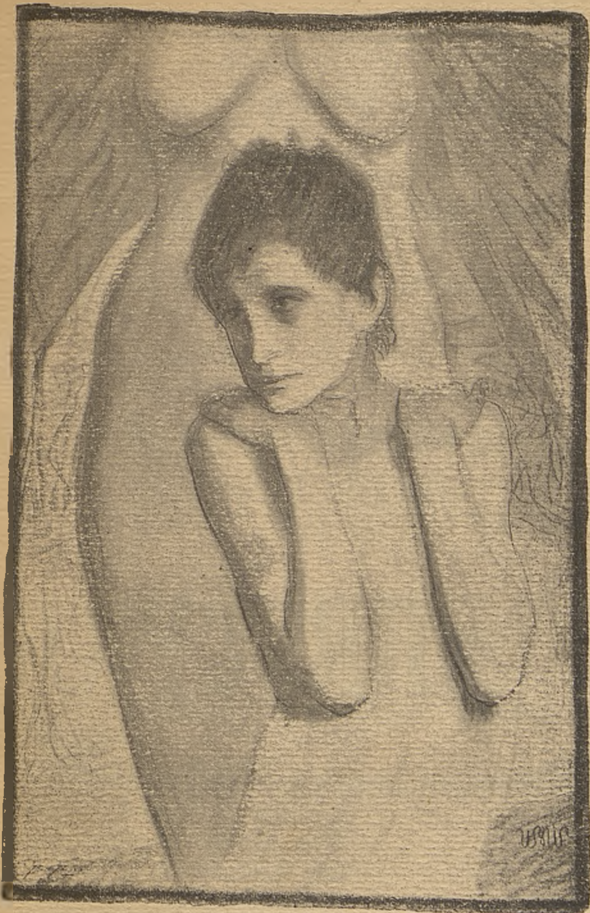
Na pociechę wygnańcom. którym przepowiada, że nie dożyją dnia ogólnego zmartwychwstania, Szaman powiada: wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę.. będziecie piękni. Zdawałoby się, że to marna pociecha w zamian za możność zmartwychwstania, a przecież poeta wyobraża ją sobie wielką, bo owi nieżyjący mają wcielać w siebie piękno, będą zatem jak nieśmiertelne dzieła, budzące podziw u całych pokoleń — dzieła piękna. Tak samo znalazłszy się z Anhellim na cmentarzu, zapewnia go Szaman, że dla smutnych kraina syberyjska jest piękną »albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne«. Tak samo nie mówi o lepszej, weselszej, lecz o piękniejszej ojczyźnie, a duchy z ciał opętanych przez anioły chce, aby weszły w lilie wodne i rozleciały się po gwiazdach różanych i zamieszkały w tem co jest najpiękniejszego«. I śmierć, owa ucieczka melancholika i pesymisty, może być piękną. Ellenai przywołuje na pamięć gminne podania, wierzy, że po śmierci poleci do krainy rodzinnej Anhellego, że przebywać będzie w miejscu, gdzie upłynęło jego dzieciństwo, gdyż »z taką myślą śmierć piękniejsza«. Ostatnim obrazem jaki widzi, jest czerwona szyba lodu z dwoma skrzydłami promieni, jak gdyby anioł złoty, i tu więc lubuje się w pięknie. Marzycielskie usposobienie poety, jego wielkie oderwanie od spraw ziemskich, a poszukiwanie duszy, wreszcie wrodzony mu silny subjektywizm, podsuwały mimowoli kryteryum piękna, które najwyższe wzruszenia dawało jego skoncentrowanej naturze.

Dr. Zofia Daszyńska.



A. S. PROCAJŁOWICZ. NOCTURN.

MŁODOŚĆ



Kraków w październiku MDCCCIC.

TREŚĆ:

STRON 32.